ŚWIAT

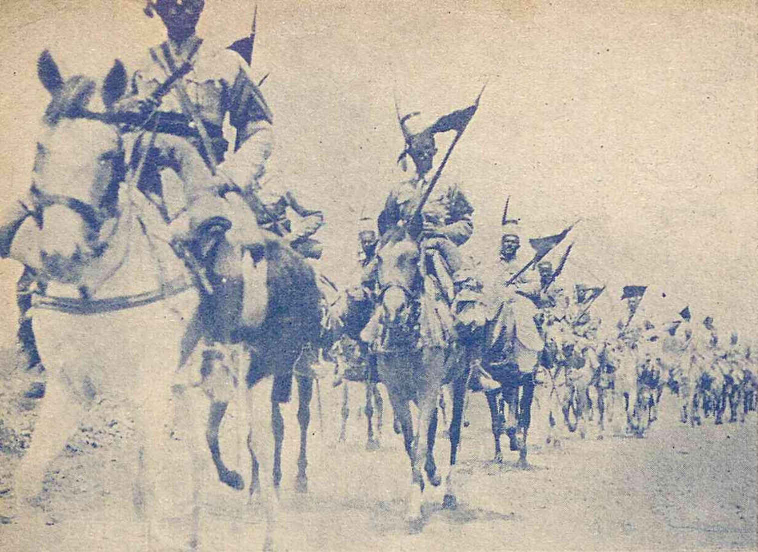
CENA 1 ZŁ.



Nr. 43. 26. X. 1935 R.

w numerze:

Z POLA WALKI

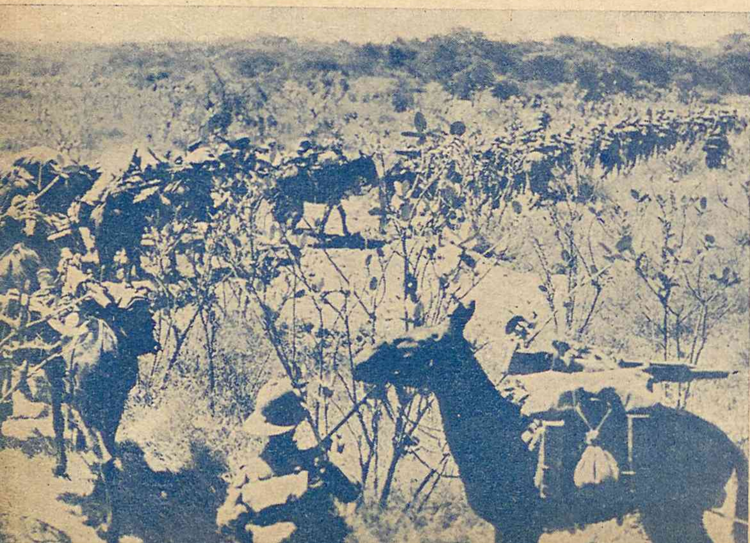


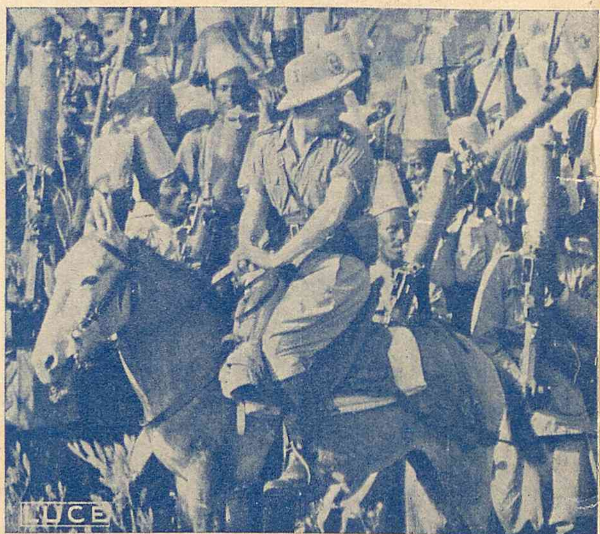
Kawalerja włoska w Erytrei, — odbywają w niej ochotniczą zawodową służbę najdzielniejsi jeźdźcy z afrykańskich kolonji Włoch.



Odczytywanie proklamacji mobilizacyjnej w Addis Abebie.

Oddziały włoskiej kawalerji pną się po ścieżynach abisyńskich bezdroży.





Kawalerja tuziemców pod wodzą włoskich oficerów.





Szczepienie przeciw malarji, dokonywane w Addis - Abebie w klasztorach i przytułkach katolickich.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 43 26.X.1935

L. CHRZANOWSKI.

PRZEKLĘTA WOJNA

Liga Narodów nie zapobiegła wojnie.

Nie będziemy dziś snuli wniosków na przyszłość lub ferowali przepowiedni. To, co było w Genewie i co się dzieje na morzu Śródziemnem, wystarcza, aby niepokojem przejąć każdego. Przeklęta wojna stała się znowu — aktualnością dnia, zmorą codzienną, niezdrowem zainteresowaniem codziennem! Pocieszanie się, że działa grzmią tak daleko, że fizycznie cierpień rannych nie widzimy — to pocieszanie się bardzo samolubne, a politycznie bardzo krótkowzroczne.

Spójrzmy nieco bliżej. Na falach morza Śródziemnego płynie dumnie 800 tysięcy tonn 144 angielskich okrętów wojennych. U wybrzeży włoskich w tych lub innych „bazach morskich" napozór bezczynnie kołyszą się łodzie podwodne, na Sycylji wylegują się aeroplany i hydroplany. Te wspaniałe okręty, aparaty, motory — wszystko to zaludniło wody, zapełniło porty Morza Śródziemnego.

Patrzą na siebie, mijają się, (według depesz bez wymiany pozdrowień marynarskich), szczerzą lufy i szukają mimowoli punktów celu. Ten stan rzeczy — nie ułatwi żadnemu z tych dzielnych kapitanów zdobycia pokojowej nagrody Nobla!

Doszliśmy do tak absurdalnej sytuacji, że „wojna — jak zauważył jeden z francuskich publicystów — zależy od butelki whisky". Jeden głupi bezsensowny incydent między mijającemi się okrętami i... wszystkie sprężyny obrażonych prestige'ów pójdą w ruch. Katastrofa gotowa!

Kiedy się na to trzeźwo spojrzy, kiedy się widzi możliwość wojny, zależną od takiego stanu rzeczy, to istotnie trzeba się zbroić... w spokój, aby nie wybuchnąć przekleństwem na głowy dyplomatów.

Po 17 latach młócenia snopów gadulstwa, po 17-u latach stylizowania paktów i traktatów, nie zapobiegli sytuacji, aby „butelka whisky" mogła stać się przyczyną nieszczęścia ludów.

Czyż obraz ostatnich obrad genewskich nie jest wyrazem tragicznej bezradności kancelarji dyplomatycznych? Czyż uchwalenie sankcji antywłoskich w takich warunkach, jak je uchwalono, nie było szczytem hypokryzji i obłudy godnej kauzyperdów, a nie jurystów o międzynarodowym autorytecie? Ale tak być musiało. Na Lidze mściła się jej hypokryzja z przed paru lat. Kiedy w ogniu stał bombardowany przez japończyków Schanghaj, kiedy armja japońska w imię „obrony niepodległości" Mandżurji odrywała tę prowincję od Chin, aby stworzyć Mandżukoo — wówczas o sankcje przeciw Japonji Anglja nie wołała— bo jej interes nie szedł po tej linji.

A czyż przelewana krew żółtych mieszkańców Chin wytacza się mniej boleśnie, mniej karygodnie, niż krew czarnych mieszkańców Abisynji?

Skoro Liga nie zdobyła się wówczas na logikę, na sprawiedliwość, na polityczną odwagę w obronie pogorzelców na Dalekim Wschodzie — to stworzyła precedens niebezpieczny i szkodliwy.

Gdyby prawo i słuszność zawsze miało tak gorliwych obrońców w Genewie, gdyby parę lat temu delegaci Anglji, ministrowie Simon i Eden, z równą konsekwencją bronili praw napadniętych Chin—dziś inny byłby autorytet Ligi, dziś europejczyk spokojniej patrzyłby w przyszłość i z mniejszą trwogą patrzył na konflikt wojenny, o tyle bliższy jego domu.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Handel na dwa fronty

Pomimo sankcji i po ich uchwaleniu przy tak wybitnym współudziale Litwinowa, Sowiety sprzedały Włochom 750,000 kwintali zboża. Ale cóż to zapewne sprzedała jakaś „niezależna" od rządu w wolnych Sowietach organizacja „Torgwniewnutr'" czy inaczej. Moralna — przeludniona idealistami Anglja umie zawsze być sprawiedliwa. W tych dniach sprzedała Anglja Abisynji 600 ton amunicji. Nie chcąc jednak widocznie być posądzona o stronność, już po uchwaleniu sankcji sprzedała Włochom większą ilość motorów. Pisząc o tem, paryski tygodnik „Gringoire" podkreśla: „Wiadomość ta jest bezsporna. Gotowi jesteśmy odsłonić nazwę firmy angielskiej, która na tej tranzakcji poważnie zarobiła".

Amunicja dla Abisynji.

Motory dla Włoch.

Sankcje w Genewie!

Panu Bogu świeczkę — djabłu ogarek — kupcom angielskim zarobki.

Byle handel szedł.

Niemcy poza Ligą

Dnia 14 października 1933 roku Niemcy opuściły Ligę Narodów. To był pierwszy akt zerwania z instytucją genewską; miało to miejsce w czasie konferencji rozbrojeniowej, a stało się dość niespodziewanie. Sam akt zaskoczył „towarzystwo Ligowe", gdyż po porannem posiedzeniu konferencji rozbrojeniowej, na której sir John Simon wygłosił kompromisową deklarację, nikt się nie spodziewał, że popołudniu Niemcy listownie zawiadomią o swem ustąpieniu.

Według procedury ligowej wystąpienie z Ligi staje się definitywne dopiero po dwuch latach. Dwa lata, to okres, podczas którego może nastąpić wiele przewartościowań decyzji.

W sprawie jednak ustąpienia Niemiec z Ligi — żadna zmiana nie zaszła, 21-ego października upływa termin. Wystąpienie staje się ostateczne. W tych dniach rząd niemiecki wpłacił do sekretarjatu Ligi zaległe składki, wynoszące 5 miljonów 300 tysięcy franków w złocie. Uregulowanie bowiem składek jest obowiązkiem ustępującego członka Ligi. Oficjalne więc stosunki Niemiec z Ligą zakończyły się.

W historji pozostają trzy daty: *10 września 1926 r.* — wstąpienie Niemiec do Ligi Narodów, *14 października 1933 r.* — zgłoszenie wystąpienia; *21 października 1935 roku* — definitywne upłynięcie terminu dwuch lat i wystąpienie Niemiec z Ligi.

Gdy patrzymy na tę ostatnią datę, muszą stanąć nam w pamięci słowa niepoprawnego iluzjonisty Briand'a, jakie wygłosił na Zgromadzeniu, które przyjmowało Niemcy: „Znam matki — wołał patetycznie Briand — których wzrok po dniu dzisiejszym ze spokojem spocznie na głowach ich dzieci, a serce przestanie się ściskać z niepokoju i trwogi. Dzień ten zapisuje się nam złotemi zgłoskami. Dobre słowa o współpracy Niemiec i Francji wymienione zostały w duchu jednakiej szczerości, stały się one tym samym odruchem. Nigdy, napewno, z mojej winy wartość ich się nie zmieni".

Briand nie żyje. Dzień „zapisany złotemi zgłoskami" stał się fundamentem odrodzenia militarnej siły Niemiec. Dziś „wartość i szczerość" złotych zgłosek Niemcy definitywnie przekreśliły — tryumfalnie opuściły Ligę.

Walka o Chiny

W Japonji zaniepokojenie.

Wojskowe koła japońskie bacznie i z niepokojem śledzą ekspansję kapitałów angielskich i niemieckich w Chinach.

Bo kapitał angielski jest ruchliwy. Tu nabędzie terenik, tam koncesyjkę, jeszcze gdzieindziej kolej — a wszystko w celach ugruntowywania kultury ekonomicznej W. Brytanji. Nieco później zazwyczaj pożogi rewolucji wewnętrznych czy starć międzynarodowych: o tę głupią naftę, o tę niezbędną bawełnę, o jakieś djamenty i platynę — ukazują się na horyzoncie. „Zagadnienia nabrzmiewają grozą" — jak mówią patetyczni dyplomaci.

Ostatnio w Chinach kapitały angielskie i niemieckie poszły w zawody!

Tak jest, *niemieckie też!* Zrujnowane, nie płacące odszkodowań, nie wypuszczające marki dla spłaty zakupów europejskich Niemcy zdobywają teren w Chinach, bardzo silnie usadawiając się ekonomicznie w prowincji Shausi.

Kapitał angielski zaś w najbliższym czasie rozpoczyna budowę linji kolejowej Kanton — Hankou. Linja ta odpowiednio wzmoże wpływy angielskie, podobnie jak nabycie kopalń i terenów węglowych w Tsitang około Pekinu.

W czarnej Abisynji anglosasi nabywają koncesje na djamenty najczystszej wody, w żółtych Chinach — czarne djamenty! Zawsze jakieś djamenty! W tych warunkach można niemi „przetykać" korony nawet powołanych drogą plebiscytu.... paru generałów królów w Grecji, czy gdzieindziej.

Ostatni „zakup" angielski w Chinach wywołał w Japonji specjalne niezadowolenie, gdyż o te same tereny węglowe przemysłowcy japońscy oddawna traktowali z Nankinem. Bogactwa Chin przyciągają równie atrakcyjnie różnych cywilizatorów, jak bogactwa Abisynji. Od dłuższego już czasu jednak Japonja w tym wyścigu wyprzedzana jest przez Anglję — obecnie jednak przybył trzeci ruchliwy konkurent — Niemcy.

Zaanektowanie Gruzji

Pakt Ligi Narodów podpisany był 28 czerwca 1919 roku. Jedenastego stycznia 1920 r. Rada Ambasadorów uznała niepodległość Gruzji. Sowiety 7 maja 1920 roku uznały, podpisując odpowiedni traktat — niepodległość Gruzji. Pierwszy paragraf tego traktatu brzmi: „Rosja Sowiecka uznaje bez zastrzeżeń suwerenność państwa gruzińskiego".

Dziesięć miesięcy później Sowiety zaatakowały Gruzję, która po bohaterskiej obronie uległa. Panowanie Sowietów zostało utrwalone.

Ani na konferencji w Genui, ani w Lozannie nie pozwolono Sowietom przemawiać w imieniu Gruzji.

Liga Narodów wielokrotnie robiła czułe gesty, świadczące, jak bliską jej sercu jest Gruzja. Dziś przedstawiciel państwa, które było napastnikiem, zasiada w Lidze Narodów. Dziś p. Litwinow wielbi, propaguje, nakazuje sankcje!

A może by tak W. Brytanja, która za czasów carskich tak wybitnie ułatwiła wybuch rewolucji w Rosji — zwróciła się do kolegi z Rady Ligi, przywołując do porządku napastnika z roku 1920, który pozbawił Gruzję niepodległości i nadal ją.... trzyma.

W CAMPANJI RZYMSKIEJ

NASTROJE JESIENNE:

NA POLSKIM UGORZE

POŁÓW PEREŁ



Teorja i praktyka

Znakomite artykuły Ignacego Matuszewskiego o gospodarczym programie Polski postawiły jako pierwszy punkt programu: przymknięcie nożyc, obniżenie nadmiernie wysokich cen przemysłowych. I słusznie.

Tembardziej słuszne i tembardziej aktualne jest to postawienie sprawy, że niektóre ceny przemysłowe w ostatnich dniach *wbrew wszelkiemu sensowi — zwyżkują.* Kartel fabrykantów blachy cynkowej podniósł cenę z 760 złotych za tonnę do 800 złotych za tonnę. I to pomimo, że znaczne wzmożenie się eksportu tej blachy zapewnia fabrykantom i tak już zwiększone zyski.

Francuzi jasno myślą

W „wojnie teatralnej", która rozpętała się między Boyem a Kadenem, zabrzmiał głos min. Matuszewskiego, kategorycznie stwierdzający, że Państwo ma pilniejsze potrzeby, niż prowadzenie teatrów.

Na to zareplikował dyr. Szyfman długim artykułem, w którym wyjaśnił: że teatry nie są państwowe, że wprawdzie otrzymują coś z różnych resortów, ale te sumy budżetu odnośnych resortów nie obciążają. Że wreszcie głos min. Matuszewskiego nie ułatwi teatrom T. K. K. T. uzyskania powiększenia subwencji.

Kanonadzie teatralnej przysłuchiwała się nietylko prasa polska. Przebieg jej śledzili z zaciekawieniem i widzowie teatralni, i dyplomaci zagraniczni, i zagraniczni dziennikarze. „L'Echo de Varsovie" opatruje wywody dyr. Szyfmana następującym logicznym komentarzem:

„Jeżeli 156 tysięcy złotych pochodzi z budżetów poszczególnych ministerstw, a budżet państwowy nie został przez to powiększony ani o grosz — to nie jest to zupełnie zrozumiałe. Istnieje suma, która wpływa do kas teatrów. Sumę tę dostarczają poszczególne ministerstwa, — i nie obciąża ona niczyjego budżetu? Nazwać to można — sztuką magiczną".

A dalej:

„Morał tej całej historji? — Pan Szyfman sam go wyłuskał. Oto co wynika niezbicie z jego repliki: że *jeśli rząd chce mieć dobre teatry, trzeba, aby powiększył subwencję dla tych teatrów... NIE SUBWENCJONOWANYCH".*

Za karykaturę Hitlera

Podajemy bez komentarzy:

Przed sądem okręgowym w Katowicach odbyła się rozprawa przeciw redaktorowi odpowiedzialnemu „Polonji", Pustelnikowi, oskarżonemu o zniewagę Adolfa Hitlera przez zamieszczenie karykatury kanclerza. Sąd skazał oskarżonego na miesiąc więzienia bez zawieszenia kary. Pozatem sąd zatwierdził konfiskatę zajętego wówczas nakładu „Polonji".

(PAT.).

Urodzony stylista

Oto wyjątek z korespondencji pana K. M. M. z Rzymu:

„Jest gorąco. Lekki wietrzyk zachodni porusza przed oknem villina na Awentynie, gdzie piję herbatę, gałązkami mimozy".

Rany Boskie! Pił herbatę gałązkami mimozy? Jak on to robił?

A dalej:

„Przechodzę koło słynnego „cmentarza angielskiego" — zachodzę tam więc na chwilę, ażeby w cieniu wysmukłych cyprysów pokłonić się pamięci Shelleya, jedynego syna Goethego i owych licznych prawosławnych, co się również tutaj „skończyli".

Kłaniać się Shelleyowi — rozumiemy.

Ale owym „licznym prawosławnym"....

Czy to lapsus stylistyczny, niezręczność formy?

Czy takie prawosławne, tradycyjne bicie pokłonów?....

Konsumcja

Kanadyjczyk zjada rocznie przeciętnie 300 jaj.

Francuz — 172.

Polak — 72.

Jaja zniesione przez polskie kury jedzą hiszpanie. Polski chłop nie bierze ich do ust. *Nie iżby miał wstręt do jedzenia...*

Na wszystko są sposoby

Jak pisze „Depesza", gazeta tygodniowa zajmująca się wyłącznie sprawami gospodarczemi, a więc poinformowana, co się w tej dziedzinie dzieje, w Łodzi stosuje się na wielką skalę obchodzenie prawa i oszukiwanie skarbu przy wykupywaniu patentów przemysłowych.

Oto jak się to robi:

Firma przemysłowa lub kupiecka, zwłaszcza w handlu przędzą, wykupuje patent na nazwisko osoby, mieszkającej zazwyczaj w jednym pokoiku, którego całe umeblowanie składa się z kilku połamanych krzeseł, stołu i łóżka. Wzamian za to biedak ten otrzymuje kilkanaście złotych tygodniowo i pod jego nazwiskiem, a właściwie firmą, dla której wykupiono patent, pracuje w ukryciu zupełnie ktoś inny, dokonywujący olbrzymich tranzakcyj, dochodzących czasami do miljonów złotych rocznie. Oczywista, tranzakcje te wymykają się z opodatkowania, a egzekucja władz skarbowych w stosunku do rzekomego przedsiębiorcy jest, wobec braku majątku ruchomego, zupełnie bezskuteczna i bezcelowa. Jest to swoista koncesja, a ów nędzarz niemniej swoistym, w drobnym stylu, „ordynatem na koncesji". Z takiej drobnej kilkunasto czy kilkudziesięcio-złotowej renty, wypłacanej przez faktycznego przedsiębiorcę, ukrywającego się doskonale w cieniu przed podatkami i świadczeniami, żyje bardzo znaczna liczba osób.

Jak dodaje „Depesza", ta ucieczka od podatku może trwać rok, później jednak przedsiębiorstwa te likwidują się, tworząc nadal nowe fikcyjne firmy i nadal uprawiając swoją działalność.

Trochę sprytu — a życie wcale nie jest trudne...

Solidarność ludzi kolorowych

Może to nie jest przypadek, że właśnie teraz rząd japoński postanowił mianować przy cesarzu abisyńskim stałego swego przedstawiciela dyplomatycznego. Japonja nie miała w Abisynji poselstwa. *Teraz je będzie miała.*

Pierwszym posłem w Addis-Abebie mianowany został — *dotychczasowy radca poselstwa japońskiego... w Rzymie.*

Jeszcze o łebkach od szpilek

Czytelnicy może pamiętają zacytowany niedawno na tem miejscu fakt bezgranicznej skruchy pewnej dziewczynki z inteligencji, która, jak powiedziała księdzu na spowiedzi — *„kradła starszej siostrze... szpilki ze szklanemi kolorowemi łebkami“.*

Przeciwstawiliśmy wówczas temu wyrafinowanemu poczuciu uczciwości panującą ogólnie wśród dzieci chłopskich i robotniczych moralność „utylitarną“ — i wnioskowaliśmy, że różnice wypływają z wychowania.

Bohaterka nasza, owa dziewczynka od łebków od szpilek, jest dzisiaj osobą dorosłą. Przeczytawszy to wspomnienie z przeszłości, nadesłała nam swe uwagi, które ze względu na nieprzemijającą aktualność tematu zamieszczamy w całości. Czytelniczka nasza pisze:

„Z tezą „Upartego nurka“ się nie zgadzam. Mała dziewczynka *naprawdę* kradła, dobierając się do skarbów siostrzanych — i bagatelizowanie tej sprawy dlatego, że szło raptem o szpilki, jest zupełnie niesłuszne“. (Przyp. „Upartego nurka“: Bynajmniej sprawy nie bagatelizowaliśmy, uważając, że tutaj decyduje poczucie popełnionej winy. Podkreśliliśmy tylko, że u nas *w pojęciu ogółu* jest to bagatela, o którą wogóle nie warto robić sobie skrupułów).

Czytelniczka nasza pisze dalej:

„Ktoś, kto chce otruć wroga przez wsypanie mu do zupy cjanku potasu, lecz omyli się i wsypie kwasu bornego — jest wprawdzie niewinny w obliczu prawa, ale w obliczu moralności jest mordercą. Idzie przecież o *winę*, nie o *szkodę*. W kategorjach prawnych jest odwrotnie: odpowiada się za konsekwencje, nie za zamiary —przynajmniej naogół. A tu właśnie szło o kwalifikację *moralną* czynu, nie o prawną. Mogę się zdumiewać, skąd mi się taka potworność mogła przytrafić, ale odmienić jej nie mogę“.

„Tam, gdzie „Uparty nurek“ zestawia rzekomo nadmierną moją skrupulatność *z obyczajem* złodziejskim naszego ludu, należy dodać komentarz, któryby ten obyczaj najwłaściwiej, mojem zdaniem, oświetlił. Przeważnie bowiem przypuszcza się, że obyczaj i normy współżycia ludu wyrabiają się w ten sposób, co normy współżycia środowiska inteligencji — t. j. przez wychowanie. Tak wcale nie jest. Obyczaj *inteligencji* wytwarza się przez wychowanie domowe, oparte nota bene na kulturze moralnej. Obyczaj ludu zaś wytwarza się *z tradycji* — (opartej nie na kulturze moralnej, lecz na kombinacji instynktu życiowego z najbardziej formalnie pojętemi przepisami religijnemi), oraz — co najważniejsze — *z prawa.*

Masę ludową wychowuje nie szkoła, jak się to naiwnie powtarza, lecz prawo — t. j. ustawa i jej stosowanie. Jeżeli więc konstatujemy, że lud nasz kradnie — (a kradnie potwornie, to prawda) — to oskarżamy nietyle warstwę ludową, ile Państwo. To nie są żadne wycieczki antypaństwowe — nie idzie mi o oskarżanie tego czy innego rządu, tylko o skonstatowanie, że nawet nasz lud by nie kradł (a przynajmniej kradłby mniej), gdybyśmy *naprawdę szczerze uważali* ich kradzież za objaw niedopuszczalny. Tak, niestety, naogół w Polsce się nie uważa — i dlatego lud kradnie.

Nie można przecież mieć pretensji o brak kultury współżycia (bo szanowanie cudzej własności należy poprostu do kultury współżycia) do ludzi pierwotnych, nie rozumiejących pożytku z niezjadania bliźniego. My też jakieś 800 lat temu zapewne myśleliśmy, że się na zjadaniu bliźniego dobrze wychodzi. Za paręset lat i oni może samiby to zrozumieli. Na razie nie rozumieją, więc jeżeli chcemy ich *już teraz* do tego przyuczyć, to musimy używać przymusu, jako jedynego środka działania na dorosłego człowieka. Ale przymusu używać może wobec obywatela — tylko Państwo.

Dlatego niewątpliwie kradzieże na wsi (i w mieście zresztą) dałyby się usunąć, gdyby Państwo postawiło sobie za zadanie wyrobienie poszanowania własności. Niestety, ani nasze państwo, ani żadne inne na tej długości geograficznej tego zadania sobie dość mocno nie stawia“.

Przytoczyliśmy argumenty naszej czytelniczki w całości — nietylko dlatego, że stanowią one owoc przemyśleń osoby, mieszkającej stale na wsi, stykającej się z ludem codziennie i znającej go. Refleksje te stanowią pozatem jakby pendant do listu naszego czytelnika w sprawie amnestji — listu, który zamieściliśmy w poprzednim numerze. Już drugi głos *z pośród pracującego społeczeństwa*, wzywający nie do rozpuszczenia kryminalistów — ale przeciwnie do ścisłego stosowania prawa i rozwijania w ludzie poczucia prawa — chociażby przymusem.



Paralela

Kiedy porównywa się rozwój Polski z innemi krajami — patrjota zwykle oponuje: „Anglja, Francja, Niemcy, Stany Zjednoczone— to bogacze! Źle wybieracie przykłady. Nie możemy się z nimi równać“.

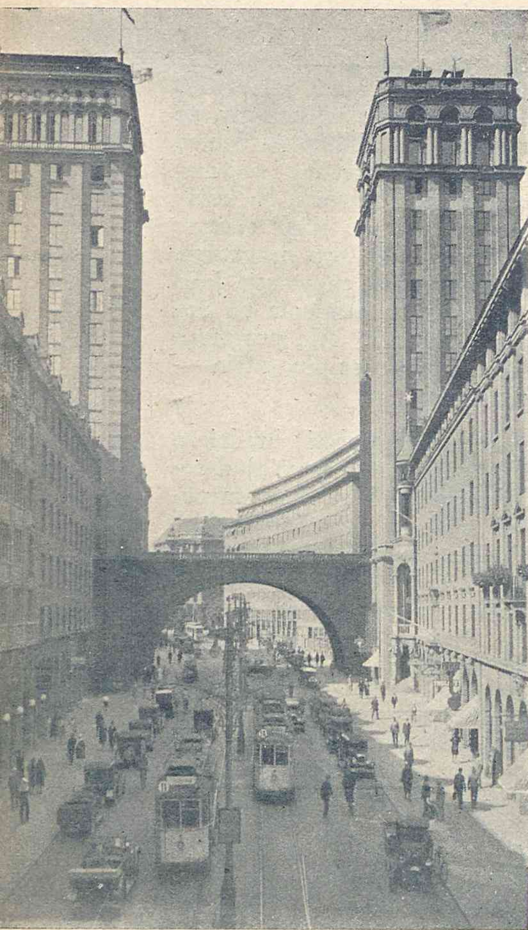
Słusznie. To też tym razem porównamy Polskę — z Rumunją. Każdy polak przekonany jest, że cały zaszczyt będzie... po stronie Rumunji.

Niezupełnie!

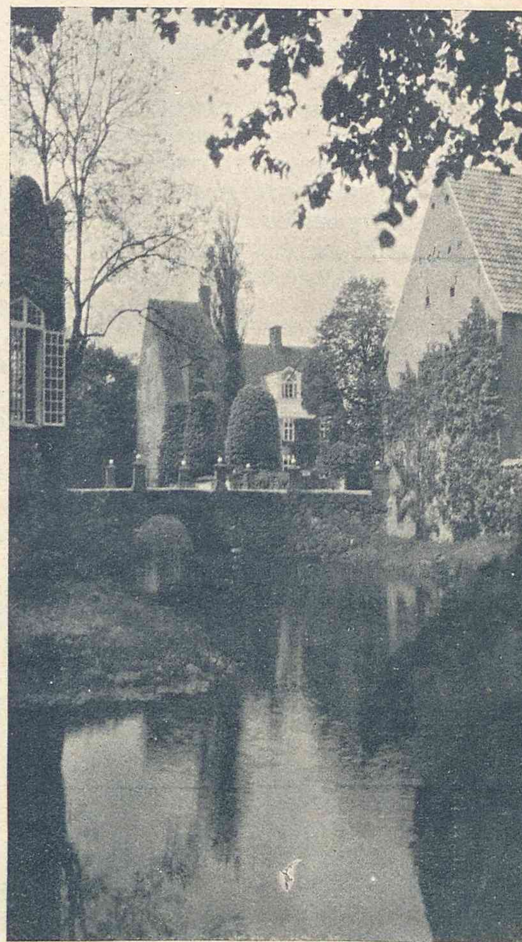
Jak wynika ze statystyki rozwoju przemysłowego w Polsce i Rumunji — przyjmując ostatni rok przedkryzysowy 1928 jako normę 100, wytwórczość w Rumunji do roku 1935 *podniosła się o 30%.*

Wytwórczość Polski w tym samym czasie *o 35% — spadła.*

„Uparty nurek“.



SZWECJA



Dzielnica śródmieścia w Stockholmie, prawa wieża — Radjostacja.

Motyw ze Skane

WSPÓŁCZESNA

(Koresp. wł. „Świata")

Każdy kraj, każda stolica mają swój koloryt, swój rytm i tętno życia. Stanowi ono to nieuchwytne „coś", nie mieszczące się w księdze Baedekera, wyczuwalne jednak przez turystę, pragnącego wżyć się w przyrodę i ludzi. Spośród krajów skandynawskich największą kulturę ma Szwecja. Jest to kultura stara i rasowa, daleka od tej zdawkowej, jaką często obserwujemy na południu. Mam tu na myśli nietylko kulturę intelektualną, ale te naturalne odruchy życia codziennego, nieuchwytne zazwyczaj dla mieszkańców danego miasta—łatwo natomiast wpadające w oko cudzoziemcowi.

Ilekroć przybywam do Stockholmu — odbywam przedewszystkiem cichą pielgrzymkę na Stureplan. Jest to jeden z największych, najruchliwszych placów stolicy Szwecji:— serce Stockholmu. Wystarczy rozejrzeć się po tej olbrzymiej przestrzeni i pilnie zaobserwować tempo życia. Tramwaje i autobusy krzyżują się co chwila, tworząc niewidzialne, wyszukane figury ruchowe. Przechodzień szwedzki, wyszkolony w obcowaniu z tym olbrzymim w stosunku do półmiljona mieszkańców ruchem ulicznym, nie śpieszy się, rzadko przekracza przepisy, jeszcze pono rzadziej pada ofiarą wypadku.

Ruch na Stureplan w godzinach południowych jest dla mnie syntezą kultury nowoczesnej Szwecji, jest bezsprzecznie arcydziełem logiki i koncentracji.

A dalej: obserwuję zachowanie się władz bezpieczeństwa, obsługi wozów elektrycznych: pełne prostoty i wykwintu. Drobiazg: wyskakujący na każdym przystanku konduktor pomaga starszym pasażerom, znosi paczki i pakunki. Wyczuwa się, że grzeczność ta to nie gest *odświętny*, ale zdawna zakorzeniony zwyczaj. Ludzie *ufają tu sobie* i nie widzi się np. i nie słyszy badania rzetelności pieniądza w sklepie, czy autobusie. Przeciwnie — z miłym uśmiechem podają ci towar, czy bilet, nie wyciągając uprzednio ręki po zapłatę... To z a u f a n i e, znamionujące kulturę szwedzką, jest jedną z cech najsympatyczniejszych, uderzających od pierwszej chwili pobytu w tym kraju.

Rytm pracy biurowej bierze snać również wzór ze wspomnianego Stureplanu. Praca odbywa się w Szwecji między 9-tą a 4-tą popołudniu z przeszło godzinną przerwą na lunch. Wówczas we wszystkich restauracjach Stockholmu spotkać można pracowników stolicy. Za godzinę, z pedantyczną punktualnością powracają oni do przerwanego urzędowania. Jedną z potęg kultury szwedzkiej to *prasa*. Słyszałem o niej dawno, poraz pierwszy jednak udało mi się obecnie zwiedzić parę najpoczytniejszych redakcyj ze „Stockholms Tidningen" na czele. Olbrzymie to wydawnictwo, istniejące już od lat stu dziesięciu, bije codziennie przeszło 200 tysięcy egzemplarzy, nie licząc zamówień ilustracyjnych dla całej niemal prasy tygodniowej. Ośmiuset ludzi zatrudnia sama drukarnia, urządzona z nowoczesnym wykwintem i logiką. Zwracam uwagę na sygnalizację świetlną i dźwiękową, pozwalającą na odszukanie danej osoby w ciągu paru sekund w labiryncie zakładów. Patrzę z podziwem na pracę moich kolegów szwedzkich w redakcji tegoż najpoczytniejszego pisma i na wzorową czystość sal, piękne stylowe meble no i na niezliczoną sieć telefoniczną — *spécialité de la maison*. Bo telefon w Szwecji jest tak niezbędnym współczynnikiem życia, jak powiedzmy, rower w Danji, czy Holandji, lub radjo w Berlinie. O pokojach bez telefonu wogóle się nie pisze:— nie istnieją.

W parę godzin później zwiedzam najciekawsze muzeum etnograficzne —Skansen. Oprowadza mnie młody, pełen za-

pału dyrektor tego rezerwatu, p. Gustavson. Skansen, to nie martwe zbiory etnograficzne; tu wszystko *żyje*, zacząwszy od mieszkańców chat staroszwedzkich, przeniesionych w całości z prowincji. Całe kompleksy budowli drewnianych, stare kościółki i plebanje, śpichrze i piekarnie, apteki z dawnych stuleci przeniesiono to wraz z umeblowaniem i dobytkiem. Na progu ich witają nas mieszkańcy (żywi!) w strojach z tamtych, odległych czasów. Czyni to wrażenie tak fascynujące, tak bezpośrednie, że dzielę się niem z dr. Gustavsonem. Oglądamy dział zoologiczny, ściśle przystosowany do warunków przyrody szwedzkiej. Śmieją się ku nam łagodne oczy wielkich niedźwiedzi laplandzkich, zmyślne foki i tysiące innych zwierząt. — Zapada wieczór, kiedy z wyrazami wdzięczności żegnam d-ra Gustavsona, aby nazajutrz zrana wyruszyć, już samodzielnie, na zwiedzenie kraju.

Zaglądam w pierwszym rzędzie do szwedzkiego Oksfordu—starożytnej Uppsali, siedziby uniwersytetu. Już z okien wagonu witają mnie znajome, gotyckie wieżyce największej katedry Szwecji. Nieopodal jej — „Carolina", w której w parę godzin później oglądam słynny „Codex argenteno" i polskie infolia z XVII stulecia, zapewne zdobycze wojen szwedzkich. Obok „Caroliny" domek Linneusza, gdzie wielki botanik pracował; w pobliżu ogród botaniczny.



Stockholm w nocy

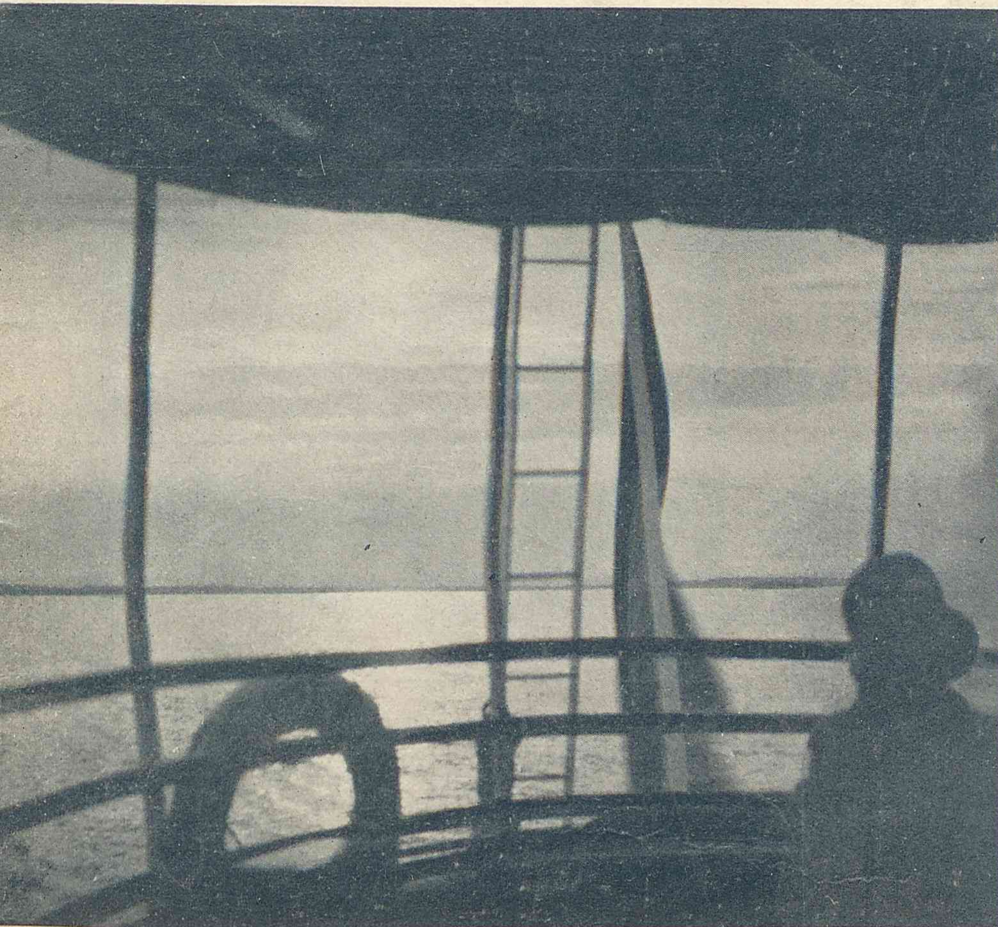
Najciekawsze było dla mnie t. zw. „nacje" czyli kluby studenckie z poszczególnych prowincyj. Jest to osobliwość Uppsali. Nacje łączą młodzież, wzmacniają węzły korporacyjne, tu spędzają studenci wolne chwile na grach sportowych, w czytelni, lub sali muzycznej, bądź radjowej. Radjo w Szwecji to nietylko ośrodek kultury. W rozmowie z dyr. Rabe, w Stockholmie, dowiedziałem się o wspaniałym rozwoju rozgłośni szwedzkich. Każdy młody Szwed jest zawołanym radjoamatorem. W Uppsali, Dalarne, czy Skanji, widziałem nad każdą siedzibą wiejską antenę i druty telefoniczne. Oto znamiona kultury, których istnienia na prowincji nie mogłem sobie uprzednio wyobrazić. Obok tego — tradycyjna, wielka gościnność, symbolem której są słynne „stoły biesiadne", pełne najwyszukańszych zakąsek, popularne zarówno na statku, czy w hotelu stockholmskim, jak w ubogiej, ale zawsze czystej oberży dalareńskiej.

Zagłębiając się w Szwecję, odnajduję coraz więcej jej uroków. Skanja ma może najwięcej barwnego folkloru i czaru romantycznej przyrody. Dwugłos wody i skał, oto motyw krajobrazu dalekiej Skanji. Młodzież wiejska rosła, o jasnych jak len włosach i niebieskich oczach. Jest w ludzie tym jakaś dostojność. Kształtne, pracowite ręce przesuwają się po specjalnej „klawjaturze" udoskonalonych warsztatów tkackich, na ścianach izb pełno haftowanych, wzorzystych makat i ręczników. W niedzielę dookoła kirchy zbiera się cała ludność wsi. Stroje barwne, wzorowy porządek i harmonijny śpiew w kościele.

Kończę podróż zwiedzeniem Göteborga, który zasługuje na nazwę „szwedzkiej Gdyni", z tą atoli różnicą, że łączy w sobie antyczność budowli z najbardziej nowoczesnym rozwojem swego portu. Granitowe gmachy Göteborga odbijają się w tafli wodnej, po której suną potężne transportowce z całego niemal świata. Tu romantyzm i business, dwa kontrasty życia, walczą ze sobą o pierwszeństwo. Na pokładzie wysmukłego „Łabędzia" opuszczam w kilka godzin później gościnną kulturalną ziemię szwedzką.

Wł. Burkath.

Przez szkery do Stockholmu





Z POSELSTW I AMBASAD

ŻYCIE TOWARZYSKIE

W dniu święta narodowego w poselstwie Chińskiem poseł chiński w Warszawie, Chang-Hsin-Hai wraz z małżonką podejmowali serdecznie licznych gości.

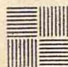
Poseł i posłowa chińscy w miłej rozmowie z posłową i posłem japońskim.



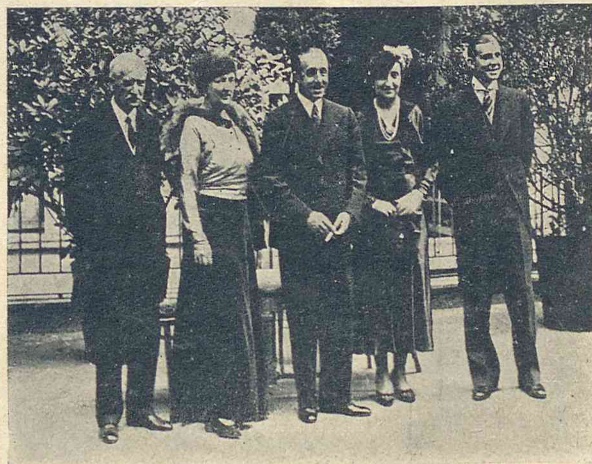
Ambasador sowiecki Dawtjan w rozmowie z ambasadorem amerykańskim John Cudahy podczas przyjęcia w poselstwie chińskiem.



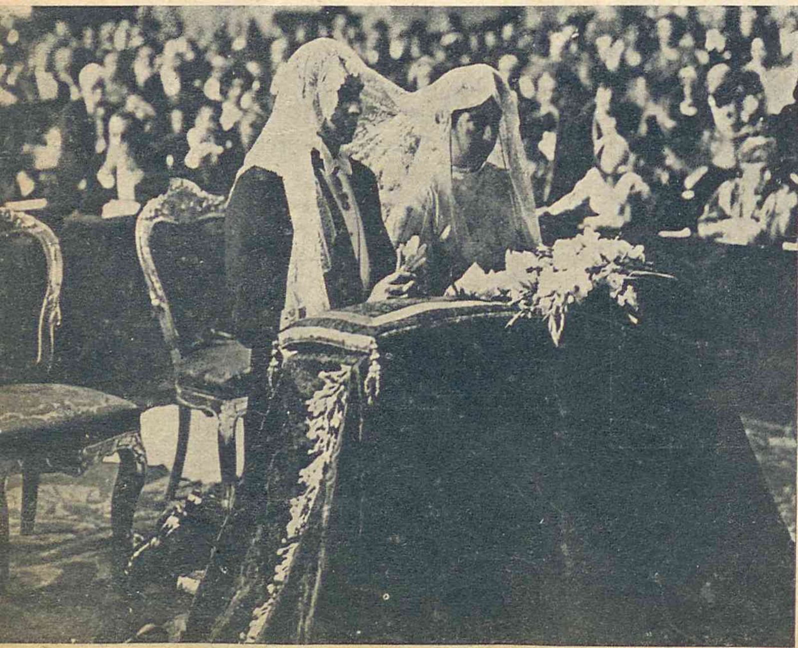
Przyjazd do Warszawy posła jugosłowiańskiego dr. Prvislav Grisogono —obok profesor Benesicz — lektor na uniwersytecie Warszawskim.



W Rzymie w kościele Santa Maria degli Angeli odbył się ślub trzeciego syna króla Alfonsa XIII Don Juana, księcia Asturji, z księżniczką Marią Mercedes Bourbon Orlean.



Stoją od lewej do prawej: Infant Karol i Infantka Luiza, rodzice panny młodej, ex-król Alfons XIII, księżniczka Maria-Mercedes Bourbon - Orlean i Don Juan, ks. Asturji.



Nowożeńcy w kościele St. Maria degli Angeli.

WITOLD BUNIKIEWICZ

ŻYCIE W KOLORACH

Każdy nowy prenumerator „Świata" otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach", której druk rozpoczęliśmy w październiku.

Wybraniec nie okazywał zapału do tej godności, gdyż pisania nie lubił, natomiast z wielkim zapałem fabrykował dzwonki elektryczne i układał szarady. Na pierwszem więc zebraniu redakcyjnem Fred postawił wniosek, aby pismu nadać nazwę „Dzwonek", gdyż będzie to nazwa praktyczna, dźwięczna, a następnie, aby poświęcić jaknajwięcej miejsca szaradom i zagadkom.

Pierwszy wniosek przyjęto bez zastrzeżeń, drugi zaś spotkał się z gorącą krytyką, a zwłaszcza Władek, mąż zaufania trzecioklasistów, domagał się stanowczej rozprawy z „Pobudką", która szczególnie napastliwie prześladuje młodszych uczniów i wyciąga ich grzechy z dawnych nawet lat.

Ostatecznie zgodzono się, że jedna tylko szarada może być w piśmie zaraz po utworze poetyckim jednego z wielu internackich poetów.

Skoro ukazał się pierwszy numer „Dzwonka", wyczytali odbiorcy pod wierszem Olgierda Giaurowicza, następującą zagadkę:

„Gdy do korka dodasz *s*,
Co to będzie, kiep, czy pies?"

Za najszybsze rozwiązanie zagadki przeznaczyła redakcja nagrodę w postaci książki.

Rozwiązanie było tak proste, iż najmłodszy nawet sztubaczek nie suszył sobie głowy.

Skorek pienił się ze złości, lecz zachowywał pozorną obojętność.

Freda zamknięto na całe popołudnie do buciarni za złośliwą obrazę kolegi, lecz wyrok władzy zaognił jeszcze sytuację.

Ostatecznie w poufnej pogawędce, a nawet w złości można nazwać kolegę ostatnim cymbałem lub idjotą, ale publicznie i to w dodatku w piśmie, które po wszystkie czasy pozostaje w historji ludzkiej, wyrazić się o kimś, że jest kpem lub psem, było zuchwalstwem ponad pojęcie.

Taką plamę mogła zmazać tylko krew.

Kolega Markowski, światowiec pierwszej miary, albowiem jego wuj był hrabią, zadecydował, iż nie może być innego wyjścia, tylko pojedynek i to na bardzo ostrych warunkach, conajmniej z trzykrotną wymianą strzałów na bliską odległość.

Tego samego zdania byli i inni koledzy, lecz niektórzy utrzymywali, iż stosowniejszym w tym wypadku jest pojedynek na szable, aż do zupełnego ubezwładnienia.

Skorek chodził jak struty i radził się na wszystkie strony, co mu czynić wypada, ale wszędzie spotykał się z jedną i tą samą odpowiedzią — pojedynek.

Nie pozostało więc nic innego, jak wysłać do Freda sekundantów.

Kolega Markowski obiecał, iż sam zajmie się chętnie pojedynkiem, który wymaga bezwzględnej tajemnicy, albowiem najmniejsza niedyskrecja hańbi na całe życie dżentelmena i nigdy nie może być wybaczoną.

Późną nocą, gdy wszyscy poukładali się na spoczynek i pogaszono światła w całym domu, dwie postacie, ubrane galowo, w czarnych rękawiczkach na rękach, wsunęły się do pokoju, w którym sypiał redaktor „Dzwonka".

Fred był uprzedzony o ich przybyciu, więc czekał odwiedzin w galowym mundurze, ustrojony również w czarne rękawiczki, a na widok wchodzących świadków wstał i zimnem skinieniem głowy złożył powitalny ukłon.

Zamieniono kilka zdań, Fred został wyzwany i wyznaczył sekundantów.

Przeprowadzenie pojedynku nasunęło jednak pewne trudności, ze względu na brak kul i prochu.

Znalazły się wprawdzie dwie stare krucice, ale strzeliwa nigdzie nie było można nabyć, gdyż kupcy odmawiali uczniom sprzedaży materjałów wybuchowych, od czasu, gdy zaczęły się we Lwowie zatargi między młodzieżą a wojskowymi.

Z wielką biedą zdobył kolega Markowski dwa ładunki do dubeltówki, z których wyjęto proch, a śruty przetopiono na kule.

Spotkanie miało nastąpić nazajutrz, skoro świt, w alei poza kręgielnią.

Ze względu na brak prochu, zgodzili się sekundanci na jednokrotną wymianę strzałów, natomiast skrócono metę z dwudziestu kroków na piętnaście, aby w ten sposób zaostrzyć pojedynek.

Obaj przeciwnicy stawili się w oznaczonej godzinie, a obowiązki lekarza podjął się pełnić Antek Godziszewski, ponieważ z anatomji miał stopień celujący, po maturze zaś wybierał się na medycynę.

Wylosowano broń, sekundanci ustawili się na swych miejscach, a na komendę: pal — padły równocześnie dwa strzały.

Przeciwnicy stali nieporuszeni na mecie, przybladli trochę ze wzruszenia.

Obaj żyli i nie odnieśli ran.

Tylko kula Skorka przeszyła Fredowi czapkę i strąciła ją z głowy na ziemię.

Strzał był celny, lecz przy ściąganiu kurka drgnęła trochę krucica i kula uderzyła o kilka milimetrów za wysoko.

Fred spudłował haniebnie.

* *
*

Chociaż pojedynek dwóch redaktorów miał pozostać wieczną tajemnicą, najdokładniej opowiadali sobie o nim uczniowie, upiększając jeszcze szczegóły spotkania.

Z podziwem spoglądano na Skorka, który bez mierzenia potrafił wpakować przeciwnikowi kulę w czapkę, tuż nad daszkiem, nieomal w sam środek mózgu.

Malcy i średniaki na gwałt skupowali gumę lub majstrowali łuki, aby w braku prawdziwych strzelb i pistoletów zasłynąć w strzelaniu z procy i łuku.

Podczas każdej rekreacji odbywały się nieustanne ćwiczenia, na parkanie i drzwiach bielały tarcze strzeleckie, wymalowane kredą.

Brat Pała uganiał się za procarzami, którzy obłuskiwali gzymsy nad oknem jego pokoju, a ksiądz rektor prześladował łuczników, dziurawiących wszystkie rynny w klasztorze.

Cenzorowi i seniorom polecono wyłapywać jaknajgorliwiej łuki i proce, ale wszystkie zakazy były bezskuteczne.

Na miejsce jednej skonfiskowanej zjawiały się dwie nowe proce, łuki przybierały coraz doskonalszą formę, a zaraza zataczała dalsze kręgi.

Nawet dziesięcio i dziewięcioletni sztubaczkowie zakładali bractwa strzeleckie i strzelali niegorzej od sześcio i siedmioklasistów.

Zestrzelić wróbla z wierzchołka drzewa było taką drobnostką, którą się nawet nikt nie popisywał, jeśli zaś zabierano się do zawodów, rozgrywka toczyła się o znacznie trudniejsze cele, jak chorągiewka na szczycie klasztornej wieży, lub czarny komin na głowie austrjackiego policjanta. Od czasu walki austrjackiej policji z uczniowskiemi rogatywkami policjant stał się stworzeniem znienawidzonem przez uczniaków. Sympatje były prawdopodobnie obopólne, bo ilekroć strażnik austrjackiego porządku pojmał sztubaka w swe ręce, mścił isę bez litości za wszystkie szykany, przezwiska i beznadziejne pogonie, aż do wyczerpania tchu i sił w nogach.

A właśnie wtedy Lwów przeżywał burzliwe czasy.

Po mieście krążyły wzmocnione patrole policyjne, a plutony węgierskich huzarów przejeżdżały często ulicami, jakby groziły ludności i nawoływały do spokoju.

Dyrektor gimnazjum, zwany powszechnie Piernikarzem, przestrzegał wychowanków przed niebezpieczeństwem, albowiem w spokojne życie polskie, oparte na miłości Boga i monarchy, wkradają się zarodki zła, zasiewane przez ludzi o najciemniejszych duszach, a gangrena poczyna toczyć młodzież, wśród której krzewią się idee wywrotowe.

Profesor Żylarski jeszcze prościej ujmował zagadnienie społeczne, które stało się przedmiotem ożywionych rozmów w całem mieście, ze względu na spodziewane demonstracje polityczne skonfederowanych robotników i młodzieży akademickiej, z powodu zbliżających się wyborów do parlamentu wiedeńskiego.

Żylarski wpadł, jak bomba, do klasy i stanąwszy na katedrze, zawołał:

— Socjaliści i nacjonaliści, wyjść z ławek!

Nikt się nie ruszył z miejsca, gdyż terminy te nie były jeszcze znane uczniom klasy piątej.

— Heraus Socialisten — powtórzył zdziwaczały pedagog, a gdy i ten rozkaz nie poskutkował, sam począł wybierać potępieńców i wywoływać ich do katedry. Po lewicy stanęli socjaliści w liczbie pięciu, taką samą liczbę narodowców ustawił po prawej stronie katedry i jął wymyślać, aż skóra cierpła ze strachu.

— Ja was nauczę, mizerne kreatury! Cesarz pan patrzy codziennie z obrazu, a wam w głowie hocki, klocki...

— Tryb warunkowy, strony biernej, czasu zaprzeszłego od słowa „gehen", przez opisanie; socjalista Czapor!

Edek, przerażony niespodziewanem mianowaniem go członkiem stronnictwa politycznego, jakoteż potwornością formy gramatycznej, milczał, przegryzając drgające nerwowo wargi...

— Dasselbe Grodecki! Antek wzruszył ramionami i nie dawał żadnej odpowiedzi.

Przyszła kolej na mnie i na dwóch jeszcze świeżo kreowanych socjalistów.

Następnie Żylarski zwrócił się do narodowców po prawicy, a gdy i w tym obozie nie znał nikt tak zawiłej formy gramatycznej, pomaszerowaliśmy na miejsce, wzbogaciwszy się o jedną dwóję więcej.

A dwója to była straszna, wpisana do katalogu czerwonym atramentem na znak, że kolor nasz jest czerwony.

Jako karę za zły stopień z niemieckiego nie dostałem w internacie obiadu i musiałem przypatrywać się, siedząc na swem miejscu przy stole, jak koledzy połykali łapczywie kawały mięsa, a wolno i po okruszynie sycili smak słodką leguminą.

Kara pozbawienia obiadu, pozornie bardzo surowa, w praktyce nie była jednak tak ciężką, jakby się wydawało.

Skazany na post chorował zwyczajnie z przejedzenia, tyle mu bowiem naznoszono mięsa, chleba i leguminy.

Każdy bowiem z kolegów uważał za święty obowiązek schować część swej porcji do papieru, aby nakarmić głodnego. A nieraz tak bywało, że cenzor skazał ociągającego się z rannem wstawaniem z łóżka na pozbawienie śniadania, ksiądz rektor zabronił jeść obiadu, a wicerektor zakazał kolacji, skazaniec zaś nie omdlewał z głodu, lecz czuł się objedzonym jak nigdy, gdyż ratowała go solidarność koleżeńska.

Podczas poobiedniej rekreacji zawezwał mnie ksiądz rektor do siebie i wypominając świeżą dwóję z niemieckiego, wyrzekł:

— Zaczynasz mi się nie podobać i zauważyłem w tobie wiele zmian na gorsze. Brat Kazimierz (było to oficjalne imię Pały) zauważył przed twem łóżkiem ślady świecy, a cenzor stwierdził, że rano nie można cię dobudzić i zasypiasz przy pacierzu. Najwidoczniej uprawiasz nocami zakazaną lekturę i to jest powodem złych stopni z niemieckiego.

Pozatem wiem od profesorów, iż posiadasz wiadomości, które nie wchodzą w zakres nauki w klasie piątej i na lekcji przyrody objaśniałeś system Darwina.

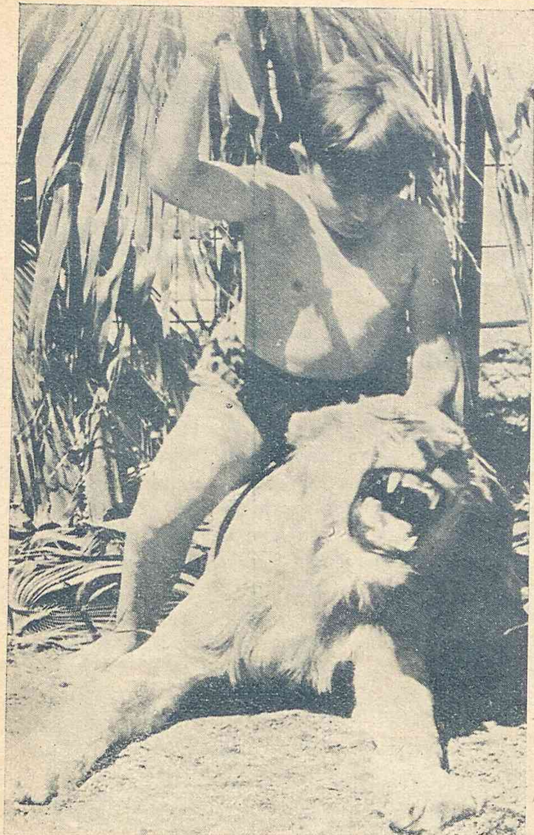
Skąd to wiesz?

Zaskoczony takiem pytaniem, plątałem się w odpowiedzi, zmyślając, że o Darwinie usłyszałem od pewnego pana, jadąc pociągiem na święta do domu, to znów, iż wyczytałem w jakiejś gazecie, w którą owinięte były książki kolegi.

Odpowiedzi moje były mętne i głupie, ale za nic nie przyznałbym się, że książek dostarcza mi pewien siedmioklasista i że czytam je nocami, często do rana, pod kołdrą w łóżku.

Te noce, spędzone przy ogarku, w ciągłem niebezpieczeństwie, czy nie zbliża się kontrola, były tak niesamowicie piękne, że wynagradzały znużenie i kłopoty uczniowskiego żywota.

(d. c. n.).

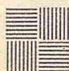


Jedenastoletni Manuel King, ubiega się o tytuł najmłodszego Tarzana i pogromcy lwów.

NIE TAKI STRASZNY KRÓL PUSTYNI JAK GO MALUJĄ



Król pustyni wśród gwiazd.



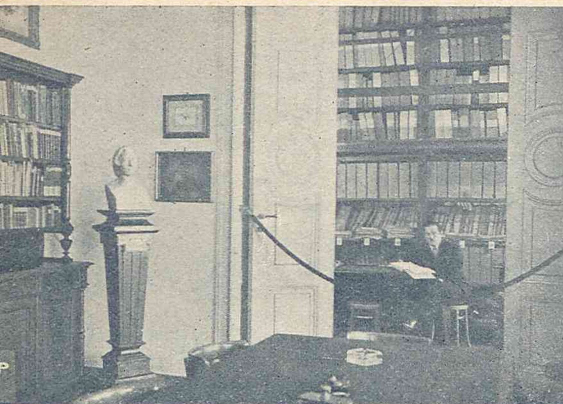


Przyjaźń w Zoologu Warszawskim (Marita Sk. ze swym lwem)



Oswojony niedźwiadek polarny „Misza" schwytany na Oceanie Lodowatym przybył do Anglji i przeznaczony jest dla rosyjskiego klubu w „Hampstead"





Fragment bibljoteki Warsz. Tow. Muzycznego.

LEOPOLD BINENTAL.

OTWARCIE BIBLJOTEKI I SALI KONCERTOWEJ W WARSZ. TOW. MUZYCZNEM

W gmachu Filharmonji, w lokalach zajmowanych przez Warszawskie Towarzystwo Muzyczne, odbyły się dwie uroczystości: poświęcenie Bibljoteki muzycznej i własnej sali kameralnej koncertowej, im. Mieczysława Karłowicza, który był — jak wiadomo — nietylko dyrektorem Towarzystwa, ale hojnym dobrodziejem tej instytucji (znakomity kompozytor zapisał T-wu cały swój majątek nieruchomy i ruchomy).

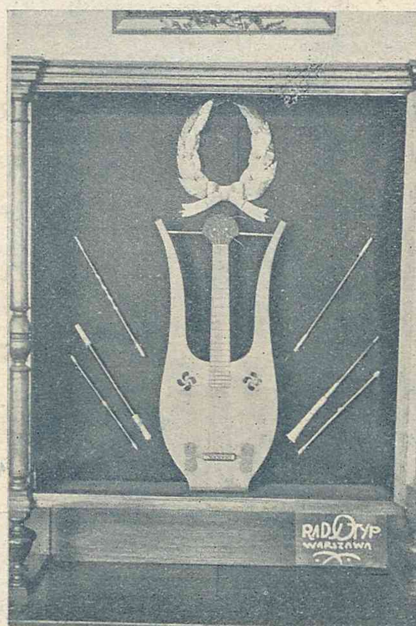
Akt poświęcenia nastąpił w jednym dniu. Dokonał go ks. prof. Henryk Nowacki w obecności przedstawicieli rozmaitych instytucji, oraz w obecności licznych członków W. T. M. i profesorów wyższej Szkoły muz. im. Chopina z dyrektorem T-wa i Szkoły, Adamem Wieniawskim, na czele. Do zgromadzonych przemówił prezes W. T. M., min. Wł. Korsak, oraz ks. prof. Nowacki. Po poświęceniu w nowej sali odbył się koncert z udziałem prof. B. Woytowicza i p. L. Szretterówny (uczen. prof. Comte - Wilgockiej). Zanotować trzeba, że w kilka dni później, 17 października, w dniu rocznicy śmierci Chopina, w sali im. Karłowicza zapoczątkowano produkcje publiczne. Tym razem program oczywiście składał się wyłącznie z utworów Chopinowskich: w lwiej części z fortepianowych i z pieśni. Wykonawcami byli prof. Śmidowicz i p. Wanda Wermińska. Przed koncertem prof. St. Niewiadomski uczcił w pięknych słowach wielkość genjuszu Fryderyka Chopina.

*

Uroczystości omawiane dały dowód niezbity żywotności Warsz. Tow. Muz., że ani Towarzystwo Muzyczne, ani Szkoła im. Chopina nie mają intencji spoczywania na laurach powszechnego uznania, delektowania się sławą jubilacką.

Z okazji otwarcia bibljoteki T-wa, pragniemy podać do powszechnej wiadomości garść informacji, dotyczących zawartości tej bibljoteki, jej rozwoju, a przedewszystkiem wymienić nazwiska osób ofiarnych, osób pracowitych, które przez swój czyn indywidualny, obywatelski, przez wnikliwe pojmowanie solidarnej, zbiorowej, wytężonej akcji dali nam, pokoleniom dzisiejszym, możność korzystania z bogactw muzycznych w obecnie otwartej *pro publico bono* bibljotece.

A bogactwa te, nagromadzone od roku 1871 (t. zn. od chwili powstania T-wa i bibljoteki) są w swoim rodzaju jedyne. „Białych kruków", polskich i obcych, o charakterze archiwalnym, muzealnym i ściśle bibljotecznym, jest tam dużo — więcej: w bibljotece T-wa jest olbrzymia ilość przedmiotów pierwszorzędnego znaczenia, niezastąpionych dla tych, którzy studjują polską przeszłość muzyczną w dziedzinie twórczości i w sferze jej popularyzacji, przedmiotów o takim charakterze, przez obcowanie z któremi pogłębia się w nas szacunek, przywiązanie do sztuki muzycznej.



Pamiątki po Moniuszce, Karłowiczu i Noskowskim

Wiedzieć bowiem należy, że w bibljotece T-wa znajduje się: tysiące objektów dotyczących Chopina, Karłowicza, kompozytorów polskich z czasów Stanisława Augusta i późniejszych, a przedmioty Moniuszkowskie w sumie stanowią w swoim rodzaju zbiór jedyny, grupujący masę autografów, listów, portretów rodzinnych, dokumentów, mających związek ze sztuką Moniuszki, z jego działalnością artystyczną.

Komuż więc zawdzięczamy to piękne nagromadzenie rękopisów, druków i innych przedmiotów w bibljotece T-wa? Jednostek tych jest wiele. Są to w pierwszej linji ci, którzy rzucili myśl tworzenia tej bibljoteki, jej kustosze, oraz składający jej dary. Zdarzało się nieraz że bezpośredni opiekun bibljoteki bywał i ofiarodawcą w jednej osobie.

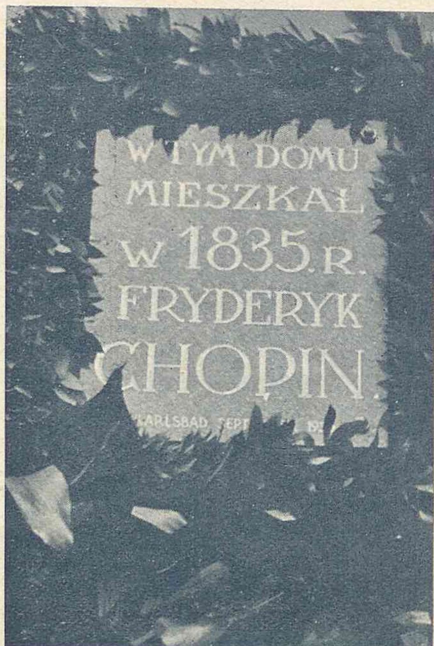
Notowanie nazwisk należy zacząć od Władysława Wiślickiego, pierwszego bibljotekarza (z którego inicjatywy powstało zresztą Warsz. Tow. Muz.). Obok niego w porządku chronologicznym wysuwa się Aleksander Poliński. Dalej: rodzina Józefa Sikorskiego, bliskiego przyjaciela Moniuszki; rodzina twórcy „Strasznego Dworu"; Władysław Zahorowski; Jan Karłowicz; Mieczysław Karłowicz (wspomnieliśmy już w tym artykule o jego wielkiej ofiarności na rzecz T-wa); H. Dobrzycki; L. Méyet; Antoni Jędrzejewicz, siostrzeniec Chopina; Ad. Minchejmer, P. Maszyński, L. bar. Kronenberg i t. d. Nie brak również na tej niekończącej się liście muzyków, mecenasów sztuki i melomanów i nazwiska Paderewskiego.

Obecni kustosze bibljoteki T-wa i istniejąca przy T-wie komisja bibl. - muzealna dbają przedewszystkiem o uprzystępnienie zbiorów na podstawach dzisiejszej techniki bibljotekarskiej. Dbają również o dalszy rozrost tych zbiorów. Pod tym względem niewątpliwie dopomogą im osoby dobrej woli, pojmujące znaczenie wielostronne skupiania w instytucji publicznej materjałów bibliotecznych i muzealnych, osoby umiejące ocenić pracę mozolną, dokonaną w ciągu długich lat na terenie Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

Inauguracja sali im. Mieczysława Karłowicza.



UROCZYSTE ODSŁONIĘCIE TABLICY PAMIĄTKOWEJ KU CZCI CHOPINA W KARLSBADZIE



W dniu 4 września b. r. odbyła się w Karlsbadzie wzruszająca uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej na domu, w którym 100 lat temu — w roku 1835— mieszkał Fryderyk Chopin. 25-cioletni Chopin przybył wówczas w dn. 16 sierpnia z Paryża, by spotkać się z rodzicami — przybyłymi z Warszawy, i zamieszkał przy ulicy Sprudlowej, w domu, który nosił nazwę „Pod białą różą", dziś zwie się „Havanna", ma zaś w przyszłości nosić miano „domu Chopina". Pobyt Chopina w Karlsbadzie trwał do dnia 6-go września. Trzytygodniowy okres czasu spędzony w Karlsbadzie był dla Chopina jednym z najszczęśliwszych momentów jego życia, gdyż był jedynem w życiu spotkaniem z ukochanymi nad wszystko rodzicami od czasu wyjazdu z Warszawy.



Tablica, będąca drugiem uczczeniem Chopina w Karlsbadzie (na promenadzie Choteka istnieje płaskorzeźba Chopina, ufundowana w 1906 r. ze składek polaków, z inicjatywy p. Włodzimierza Gniewosza), wykonana jest z czerwonego granitu i nosi pięknym krojem wyryty złocony napis w języku polskim, krótki a jakże wymowny:

„W tym domu mieszkał w 1835 r.
Fryderyk Chopin".

Sama uroczystość odsłonięcia nosiła poważny i niezwykle miły charakter. Po wykonaniu przez orkiestrę symfoniczną pod dyrekcją Roberta Manzera chorału Bacha zabrał głos wiceburmistrz miasta p. Ulbrich, który nakreślił historyczne wspomnienie z pobytu Chopina w Karlsbadzie i oddał ufundowaną przez miasto tablicę opiece miejscowego społeczeństwa.

Dwa przemówienia dziękczynne wygłosili przybyli specjalnie z Pragi — poseł Rz. P. minister dr. Wacław Grzybowski oraz prof. Zbigniew Drzewiecki. Dr. Grzybowski podziękował zarządowi miasta za piękne uczczenie pamięci nieśmiertelnego muzyka polskiego tablicą — znaczącą jeden z etapów jego życia. Prof. Drzewiecki zabrał głos imieniem muzyków polskich, uwypuklając znaczenie twórczości Chopina w dorobku wszechludzkim, jako tego, który pierwszy sięgnął do skarbnicy pieśni i tańców ludowych i słusznie musi być poczytywany za właściwego twórcę współczesnego wspaniałego rozkwitu narodowościowych szkół kompozytorskich.

Uroczystość uzupełnił koncert muzyki polskiej w „Posthofie" pod dyrekcją Roberta Manzera oraz przebywającego w Karlsbadzie kapelmistrza polskiego p. Edmunda Zygmana. Po odegraniu hymnów czechosłowackiego i polskiego orkiestra symfoniczna wykonała Poloneza A-dur Chopina, Karłowicza — Pieśń o miłości i śmierci, Poloneza elegijnego — Noskowskiego, i 4 Tańce polskie — Tansmana, pod dyrekcją p. Zygmana.

Koncert e-moll Chopina wykonała pianistka karlsbadzka, p. Magda Rusyowa, przy akompanjamencie orkiestry pod batutą dyr. Manzera.

Zarówno uroczystość jak i koncert zgromadziły liczne zastępy publiczności i kuracjuszów, wśród których nie brakło wielu polaków, przebywających w Karlsbadzie w celach kuracyjnych.

Zb. Drz.



SETNA ROCZNICA

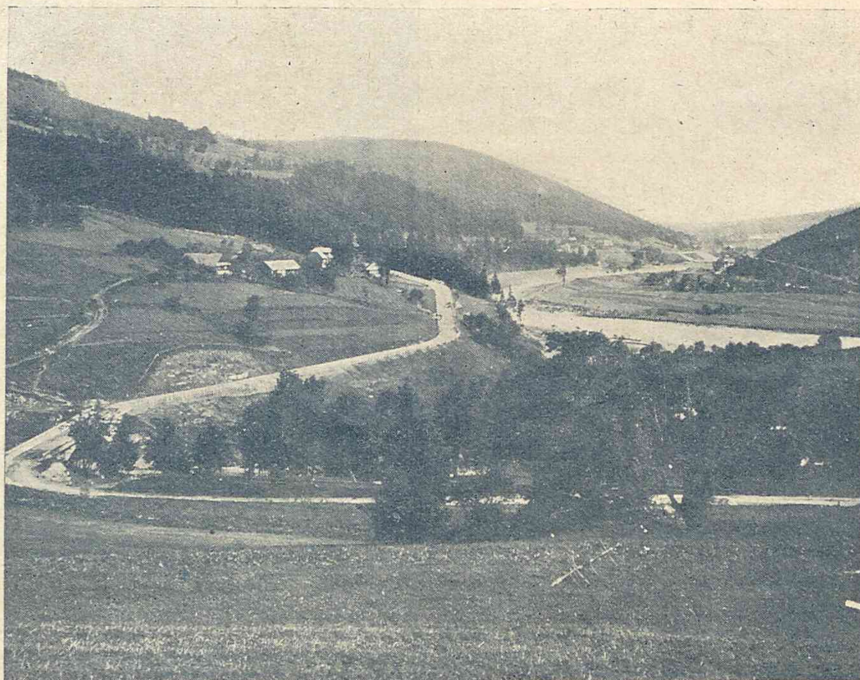
9 października minęło 100 lat od chwili urodzin francuskiego kompozytora Kamila Saint - Saënsa (1835 — 1921). W początkach swej twórczości Saint - Saëns był pod wpływem Wagnera (poematy symfoniczne „Phaeton", „Danse macabre"), później nastąpił zwrot do dawnych tradycyjnych form — wytworzył się styl eklektyczny, polegający na zespoleniu dawnych i nowych prądów. Dzięki temu zdobył miano francuskiego Mendelssohna. Pozostawił po sobie liczne kompozycje orkiestralne, kameralne i operowe. Z tych ostatnich największą sławą cieszy się „Samson i Dalila" (1877). Dla uczczenia 100-ej rocznicy poświęcono w Paryżu dwa wieczory jego utworom. Między innemi wykonano jeden z najlepszych koncertów fortepianowych Saint-Saëns'a. Koncert V. F-dur odznacza się wielką jasnością formy. II-go część Andante ma charakterystyczne dla końca XIX-ego wieku egzotyczne tony lubianej we Francji muzyki maurytańskiej. Osiąga to Saint - Saëns za pomocą rytmu, harmonji i specjalnej kolorystyki.

ZAPORA WODNA W PORĄBCE

Soła, prawy dopływ Wisły, to jedna z najdzikszych i najniebezpieczniejszych naszych rzek.

Jak wszystkie górskie rzeki w okresie małej wody, nie przedstawia nic groźnego. Wolno i spokojnie płyną fale Soły do Wisły. Dopiero w okresie przyboru, kiedy wody rzeki wzrosną wielokrotnie, Soła staje się przekleństwem najbliżej położonych osad. Niesie za sobą śmierć i zniszczenie.

Dla zilustrowania jej grozy podaję cyfry: w okresie tak zw. małej wody przepływ Soły wynosi 1,74 m^3 na sekundę, a największy, notowany dotąd przepływ, wynosił 1240 m^3/sek. A więc z górą tysiąc razy więcej!



Malownicza dolina, która za rok zamieni się w olbrzymie jezioro.

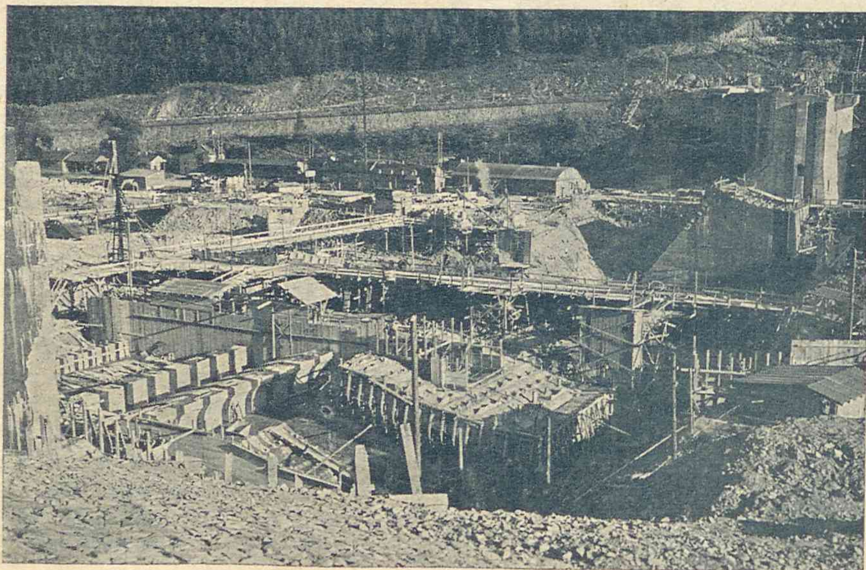
W tych warunkach uregulowanie Soły stało się koniecznością. Budowę zapory rozpoczynano kilkakrotnie, lecz wybuch wojny światowej, a potem ciężkie warunki wewnętrzne kraju nie pozwoliły na kontynuowanie prac. I dopiero w roku zeszłym przystąpiono z wielkim nakładem energji i kapitałów do zaczętych robót. Dziś budowa postępuje naprzód w tempie iście amerykańskiem, tak, że na jesień przyszłego roku spodziewać się można zupełnego jej wykończenia.

Tama na Sole utworzy olbrzymi zbiornik o pojemności 32 miljonów metrów^3 wody i powstrzyma groźny napór fal powodzi.

Cała piękna dolina, położona między malowniczemi górami, zamieni się wkrótce w wielkie jezioro. Rzecz prosta, że wszystkie dopływy Soły musiały być również uregulowane. Obawiano się tu przedewszystkiem głazów i rumowisk skalnych, jakie każdy wartki potok niesie ze sobą. Zatem, ażeby zapobiedz zanieczyszczeniu zbiornika, pobudowano na dopływach Soły mniejsze i większe tamy, mające na celu zatrzymanie głazów. Jeden taki wał, na Isepnicy, przedstawia się wcale pokaźnie: 8000 m^3 muru.

Zapora na Sole już dzisiaj sprawia imponujące wrażenie. Na niewielkiej stosunkowo przestrzeni wre gorączkowa praca. Kolejka linowa przywozi beton na teren pracy, z fabryki zbudowanej specjalnie dla obsłużenia budowy. A fabryka jest nie bylejaka: może dostarczyć budowie dziennie 750 m^3 gotowego betonu.

Ogólny widok budowy.



Konstrukcja ruchomych wież pozwala na wysypanie zawartości wagonika w dowolnem miejscu budowy.

Zapora w przyszłości wyglądać będzie jak olbrzymi wał betonowy długości 260 mtr. wysokości 35 mtr. o 5 otworach, którędy przelewać się będzie woda. Aby zmniejszyć pęd wody spadającej z wysokości 20 mtr. w dół, pobudowano za zaporą 3 rzędy bloków betonowych tak zw. szykan, które powstrzymają pierwszy impet wód. Za szykanami woda już spokojna płynąć będzie do Wisły uregulowanem korytem rzeki.

Aby uchronić zaporę przed przenikaniem wody, uszczelniono jej podłoże zastrzykami z cementu. W otwór wywiercony elektrycznym świdrem wprowadza się pod wysokiem ciśnieniem cement. Ilość cementu potrzebna do jednego zastrzyku jest rzecz prosta różna, zależnie od tego, czy świder trafi na pęknięcia i szczerby w podłożu, czy też na skałę litą. Dotychczas na największy zastrzyk zużyto jeden wagon cementu.

Nawet samą zaporę drenuje się, aby uchronić tamę przed nieuniknionem przeciekaniem wody.

Praca przy budowie zapory trwa całą dobę, zatrudniając z górą 1000 robotników dziennie. Łącznie z robotnikami pracującymi przy regulowaniu dorzecza Soły, budowie nowych dróg i mostów zatrudnionych jest przeszło 2200 robotników i 500 junaków.

Dziś wody dzikiej Soły posłusznie płyną kanałami przez dwie sztolnie, okrążając teren pracy.

Ich groźną moc ujarzmił twórczy genjusz człowieka.

Zofja Lechnicka.

LITERATURA W ANGLJI

VICTORIA REGINA

Pod tym tytułem ukazała się biografja dramatyczna królowej Wiktorji, czyli 30 krótkich scen dramatycznych, ilustrujących jej życie.

Książka trafiła do Polski w kontynentalnem wydaniu dzieł angielskich „The Albatross". Autorem jej jest Laurence Housman, brat poety A. E. Housmana. Specjalnością jego jest dramatyzowanie historji w takich właśnie scenach.

Dzięki perspektywie czasu satyryczno komiczne naświetlenie chwil żywota tej wyjątkowej królowej przestało być profanacją. A dzięki takiemu naświetleniu utwór L. Housmana wprowadza nas w atmosferę „psotnej poufałości" z tą *„wonderful little old lady"*, jaką była królowa Wiktorja dla swych wiernych poddanych. W tym samym tonie utrzymane są dowcipne rysunki E. H. Sheparda, któremi książka jest ilustrowana; mają one zarazem wiele złośliwego uroku i sentymentu. Aby wywołać tak intymną atmosferę, autor użył dwóch środków: celowego doboru źródeł i specjalnego sposobu ujęcia tematu, polegającego na przedstawianiu (poza kilkoma scenami) samych drobnych incydentów, drobnych, ale jakże charakterystycznych dla królowej, która często drobnostki w sprawach politycznych i społecznych wysuwała na plan pierwszy.

Źródła historyczne, na których Housman się oparł, to przedewszystkiem dziennik i listy królowej, opublikowane „ze szczerością bezprzykładną dotychczas w oficjalnem wydawaniu dokumentów królewskich" — i osobiste wspomnienia autora. Wojna światowa i tempo życia XX w. sprawiły, że czasy królowej Wiktorji wydają nam się czemś owianem poezją rzeczy starożytnych, ale szczerość ta jest tem dziwniejsza, że chodzi przecież o babkę panującego króla, a nie o jakąś odległą w historji postać. Osobiste wspomnienia autora nie sięgają oczywiście poza ostatnie dziesiątki lat panowania królowej Wiktorji, ale niektóre epizody (jak np. z portretem przez Benjamina Constant) słyszał on z ust naocznych świadków. L. Housman jest autorem poważnym, a w przedmowie ręczy za autentyczność pewnych nieprawdopodobnych wypadków, jak np. trudności religijne królowej, czy musi wierzyć, że Jonasz był rzeczywiście połknięty przez wieloryba lub fakt, że przykra konieczność zmusiła do przerobienia głowy exhumowanego Mahdi'ego na kałamarz dla Lorda Kitchenera.

Dzieło Housmana może rościć prawo do nazwy biografji dramatycznej, bo obejmuje 61 lat życia królowej Wiktorji od jej szkolnych czasów (r. 1837) do Brylantowego Jubileuszu w r. 1897 i jednej sceny z r. 1898.

Najpierw widzimy skromną młodą panieneczkę na lekcji. Wyraźnie zdecydowana wola księżniczki jest stłumiona pomiędzy wpływem guwernantki Lehzen a twardą dyscypliną, narzuconą córce przez księżnę Kentu. Wiktorja przyjmuje o 6-ej rano wizytę dygnitarzy, oznajmiających jej śmierć króla i jednoczesne jej wstąpienie na tron. Pierwszą troską młodej królowej jest oswobodzenie się z pod władzy matki, którą traktuje w sposób dość bezwzględny i okrutny, aż wreszcie usuwa zupełnie ze swego dworu. Lord Melbourne, premjer, wychowuje Wiktorję, jako monarchinię. Wysuwa się sprawa najważniejsza — małżeństwa młodej królowej. I tu wpływ księżnej Kentu zrobił swoje. Wiktorja wybiera na męża jednego z kuzynów, popieranych przez matkę, nie słuchając zdania reszty rodziny i politycznych doradców. W następnych scenach widzimy zakochaną młodą mężatkę, która jednak chce równie absolutnie kierować mężem, jak w swem mniemaniu rządzi krajem. Ale powoli, inteligencją i taktem ks. Albert bierze górę w małżeństwie. Królowa nietylko przestała wyznaczać mu osobistego sekretarza i regulować każdy jego krok, ale książę jest obecny przy każdem jej widzeniu się z ministrami i jest jej doradcą w każdej kwestji politycznej. *Entente cordiale* małżonków ubarwiona jest komizmem zazdrości zakochanej królowej. — Wiktorja do ostatniej chwili nie chce wierzyć, że Albert umrze. Podczas żałoby usuwa się w cień samotności. Przez dziewięć ostatnich scen przewija się królowa, szukająca we wspomnieniach o mężu natchnienia do rządów i z wiekiem zdoby-

wająca coraz większą popularność, aż wreszcie w swej powadze i pozornej wiecznotrwałości stanie się żywym symbolem Imperjum Brytyjskiego. Autor nie omija nawet platonicznych romansików królowej z Sir Johnem Brown'em i Disraeli'm, ani jej słabych stron, jak zupełny brak znajomości sztuki i literatury.

Ostatnia scena, a raczej obraz Brylantowego Jubileuszu, jest punktem kulminacyjnym tego długiego a oryginalnego żywota.

Postać królowej Wiktorji wypadła w utworze Laurence'a Housman'a nadzwyczaj żywo. Królowa nie jest zbyt inteligentna, a niesłychanie uparta, ale ciekawe połączenie zdrowego rozsądku z wielkiem opanowaniem i wyniosłości z prostotą — stwarza postać niezwykłą i bezsprzecznie bardzo sympatyczną. Nic dziwnego, że premjerzy i ministrowie epoki Wiktorjańskiej byli pełni poświęcenia i przywiązania dla swej królowej, mimo, iż często utrudniała im niezmiernie zbawienne dla kraju kroki. Jest bardzo interesujące, w jak wielkim stopniu ta niska, krępa i pełna staruszka, figura napozór krotochwilna, posiadała tak ważną dla monarchów tajemnicę wywierania imponującego wrażenia prawdziwie królewskiej godności.

Książę Albert stoi zarówno pod względem umysłu, jak charakteru o wiele wyżej od królowej i właściwie wszystkie jej dobre posunięcia w pierwszej połowie rządów przez niego były inspirowane. To też wg. słów Housmana z przedmowy — królowa była wdową, opłakującą „nietylko uwielbianego i pełnego wartości Consort'a, ale także cały kompleks ukochanych pojęć, które już w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych były na wymarciu, a obecnie są ostatecznie zmarłe i odprawione". Dlatego królowa Wiktorja, wolno teraz przyznać, przeżyła się w swej zdolności panującego monarchy, ale niemniej, jako człowiek, pozostała nadzwyczaj zajmującą i jedyną w swoim rodzaju na tronie postacią.

Osoby podrzędne, księżna Kentu, guwernantka Lehzen, książę Walji, przyszły Edward VII — dbający o popularność, gwałtowny i nieposłuszny królowej Lord Palmerston, cierpliwy pośrednik między królową a resztą ministrów, Lord John Russell, demokratyczny, szczerze nielubiany przez królową wielki patrjota Gladstone, ulubiony minister-literat Disraeli i wielu innych, nietylko ze świata politycznego, — dają złudzenie, że żywi przemawiają z kart książki.

Sensacją i skandalem dzieła jest założenie, że książę Consort, Albert Saxe-Coburg-Gotha, nie był synem księcia Coburg, brata księżnej Kentu, ale jednego z szambelanów dworu, pochodzenia prostego i w dodatku żydowskiego. Dlatego premjer, Lord Melbourne, nie sprzeciwił się małżeństwu jego z królową. Housman pierwszy podniósł tę kwestję — o dziadku panującego króla. W każdym razie faktem jest, że Albert, *jedyny* w swej rodzinie, nie cierpiał na haemophilię.

Historyczna oprawa utworu jest bardzo staranna. Housman umiejętnie wywołuje złudzenie epoki. Ponieważ rzecz nie jest przeznaczona na scenę z powodu trudności cenzury, wskazówki techniczne przy każdej scenie są bardzo obszerne, ale zarazem subtelne i malownicze, — muszą przecież zastąpić to, co dałyby dekoracje i reżyserja w teatrze. Z tych samych przyczyn djalog zbudowany jest w formie więcej literackiej, niż dramatycznej.

Książkę poprzedza doskonała przedmowa, przeprowadzająca ciekawe porównanie królowej Wiktorji z królową Elżbietą. Każda z nich dała swoje imię całej epoce. Bezwątpienia Elżbieta była osobistością o wiele bardziej potężną i niepospolitą, ale królowa Wiktorja posiadała również wielką, mimo że raczej negatywną władzę. W nowem oświetleniu możemy podziwiać mimo „ograniczeń intelektualnych" jej „niezwykły i do ostatniej chwili pełen mocy charakter". Dokładniejsza wiedza, „choć zniszczyła legendarną postać, dała nam o wiele ciekawszą osobistość".

Osoba królowej Wiktorji, (nie mówiąc o naświetleniu), jak również udział w jej życiu ks. Alberta — w dziele Housmana przedstawione są podobnie, jak w doskonałej biografji Lytona Strachey'a. Całość jest nietylko dowcipna, ale pełna życia i bardzo zajmująca.

L. Buyno.

„DROBIAZGI WYTWORNE"

Wynalazki robi się poto, by ułatwić człowiekowi życie. Samolot zmniejsza odległość, pozbawiając nas wątpliwej przyjemności odbywania podróży pieszo z Warszawy do Bukaresztu. Dlaczego jednak nie wynaleziono dotychczas niełamiących się zapałek, ani wiecznej spinki do kołnierzyka, ani znaczków pocztowych powleczonych gumą o różnych smakach: miętowym, ananasowym, czekoladowym, kawowym? Pomimo szalonego rozwoju techniki w dalszym ciągu skazani jesteśmy na codzienne zlizywanie nieprzyjemnego dla podniebienia preparatu. Panowie wynalazcy, — czekamy!

—o—

Wprost z dworca pojechałem do hotelu taksówką systemu Chevrolet. W numerze ogoliłem się amerykańską żyletką ze szwedzkiej stali, włożyłem nowe ubranie z angielskiego twedu i zeszedłem do restauracji na lampkę węgierskiego wina i hawańskie cygaro, które kelner zapalił mi niemiecką maszynką. Chcąc przyjemnie spędzić wieczór, udałem się do kina, gdzie wyświetlano film Paramountu z angielską obsadą, poczem wstąpiłem jeszcze na włoskie lody i kawałek greckiej chałwy. Kąpiel w rzymskiej łaźni dopełniła programu. Wróciwszy do hotelu, pomimo zmęczenia, zrobiłem jeszcze szwedzką gimnastykę i z błogim uśmiechem wyciągnąłem się w wielkiem francuskiem łóżku.

Działo się to w Polsce, w roku 1935, w czasie, gdy na wszystkich parkanach widnieją napisy: popierajcie wytwórczość krajową.

—o—

ROZMOWA Z JÓZEFEM HOFFMANEM

Niełatwo dostać się do mistrza Józefa Hoffmana. Rok temu starania moje uzyskania wywiadu z mistrzem spełzły na niczem. Z tem większą radością przekroczyłam dzisiaj próg salonu, do którego za chwilę miał wejść wielki nasz muzyk.

Chwile czekania pełnego emocji skróciłam sobie rozglądając się po dużym salonie. Właściwie zatracił wygląd hotelowego pokoju. W rogu lśni czernią fortepian, na stoliku wazony z kwiatami: pęk fijołków i różowe gwoździki barwami harmonizują ze sobą. Na mahoniowem biureczku pod oknem bielą się listy, depesze, gazety.

Pokój zalany słońcem... Już uchylają się drzwi od sąsiedniego pokoju i mistrz Hoffman energicznym, szybkim krokiem zbliża się do mnie. Siada przy biurku. Widzę go w pełnem świetle. Jest coś jasnego w wyrazie jego twarzy, w oczach, gdy patrzą przed siebie.

— Zapytuje pani, czy aby być dobrym pianistą, trzeba się urodzić z talentem pianistycznym? Bezwzględnie. Tak samo jak trzeba się urodzić skrzypkiem, wiolonczelistą, tennisistą, czy też mieć talent do piłki nożnej. Kwestja biegłości, czyli techniki jest drugorzędna. Artysta mający głębokie zrozumienie wszechświata, odznaczający się odtwórczością muzyczną i uposażony wrodzonym sentymentem może być pewny, że środki techniczne zawsze się znajdą same przez się. Inaczej muzyk będzie raczej maszyną, a sprawność jego czysto fizyczna prędko zmarnieje, gdyż nie ma właściwego celu. Znałem pianistów o nadzwyczajnej, olśniewającej technice za lat dziecinnych i młodzieńczych, a po trzydziestce palce ich sztywniały. Bo była to sprawność czysto fizyczna, a mózg i dusza nie brały w niej udziału.

Jako żywy przykład słuszności mego twierdzenia, że mózg i dusza są najcenniejsze, może służyć Paderewski. Ostatnio słyszałem go trzy lata temu; nie zauważyłem najmniejszej różnicy w jego grze. Ta sama sprawność, wytrzymałość. A słynny pianista Wladimir Bachmann? Mając lat osiemdziesiąt, grał jak młodzieniec!

— Czy mistrz słyszał niedawno profesora Alexandra Michałowskiego?

— Miałem dziewięć lat, gdy grałem na koncercie z profesorem Michałowskim warjacje Schumann'a... Nie można powiedzieć, żeby to było niedawno, prawda?

— Czy był to mistrza pierwszy koncert?

— Nie. Po raz pierwszy grałem publicznie, gdy skończyłem lat pięć. Było to w Ciechocinku. Jako dziewięcioletni chłopiec już robiłem tournée po całej Europie, a potem pojechałem do Ameryki.

— A kiedyż się mistrz zaczął uczyć?

— Mając trzy i pół lata. Po półtora roku zrobiłem takie postępy, że mogłem już stanąć na estradzie....

Chciałaby pani pewnie wiedzieć, gdzie się urodziłem?

W Krakowie. Ojcie mój był dyrektorem teatru i dyrygentem, matka, Wysocka z domu, śpiewaczką. Moja karjera artystyczna zaczęła się od... katarynki. Mam nadzieję, że nie skończę jej również na katarynce... Niech pani tak gorąco nie protestuje, w obecnych czasach wszystkiego można się spodziewać. A więc gdy usłyszałem na podwórzu naszego domu katarynkę, wdrapywałem się na krzesło i przykładałem ucho do szyby, by lepiej słyszeć. Oczywiście nie pamiętam tego, lecz matka moja mi o tem opowiadała.

— Mistrz wspomniał o obecnych czasach. Czy w Ameryce nie odczuwa się już jakiejś zmiany ku lepszemu?

— Bynajmniej. Kryzys trwa nadal. Wszystkie eksperymenty narazie zawiodły. Ale inaczej być nie może. Amerykanie nie mają zaufania do rządu. Tam każdy żyje dla siebie, pragnąc jedynie wyciągnąć ze swej pracy jaknajwiększe zyski. Przecież to kraj emigrantów. Skąd mają być uspołecznieni?... Gdy mnie się zapytano, kogo uważam za prawdziwych Amerykan, odpowiedziałem, że Indjan, bo oni porodzili się na tamtejszym gruncie. Istnieje jeszcze typ farmera, którego ziemię dziedziczy syn, wnuk. Ci ludzie również są przywiązani do swojej ziemi. Bo tylko ziemia przywiązuje. Kamienicznik, zbierający czynsz ze swego domu, napewno nie ma do niego sentymentu, natomiast kocha pieniądze pobrane za komorne, które składa do banku.

— Czy Ameryka zrobiła ongi na mistrzu wielkie wrażenie?

— Ja zrobiłem na Ameryce większe wrażenie, niż ona na mnie. Przecież zasadniczo każdy artysta żyje właściwie w swoim własnym świecie.

Trzeba jednak przyznać, że Ameryka daje wielkie możliwości. Jak powiedziałem przed chwilą, ludzie tam nie są naogół uspołecznieni, dążą wyłącznie do zdobycia miljonów. Ale gdy je już zdobędą, umieją je wydawać. Mają gest. Setki miljonów idzie na cele publiczne. Ileż tak *Rockfeller* dał na szpitalnictwo, na badania i wynalazki lecznicze!

A taka pani Bock, która ufundowała „Curtis Institude of Music"? Jestem tam dyrektorem. Kapitał Instytutu wynosi dwanaście i pół miljona dolarów. Z samego kapitału mamy rocznie dochodu osiemset tysięcy dolarów. Uczniowie nie opłacają nauki, pozatem instytut łoży na ich pełne utrzymanie.

— Boże, co za szczęśliwcy!

— Tak, uważałem, że trzeba było coś podobnego stworzyć, bo zazwyczaj tak bywa w życiu, że ludzie, którzy mają talent, nie mają pieniędzy... Wkońcu zawsze taki biedak znalazł swego mecenasa, który go otoczył opieką i wyprowadził, ale moim celem było stworzyć wręcz taką opiekuńczą placówkę.



Józef Hoffman.

— Jak długo trwa nauka w „Curtis Institude"?

— Niema określonego terminu. Zależy to tylko od talentu i pracowitości danego ucznia. Czasami trzy lata, a zdarza się i siedem.

— Czy przyjmuje się uczniów już zaawansowanych?

— Przeważnie tak, ale mamy też i malców. Co pewien czas odbywają się audycje muzyczne nietylko uczniów ale i profesorów. Uważam to za bardzo wskazane.

— Czy są określone terminy przyjęcia?

— Zasadniczo na jesieni i na wiosnę, ale przez cały rok przyjmujemy kandydatów. Warunek: muszą być poleceni przez jakiegoś artystę, a nie przez własną mamę. Taka rekomendacja jest niewystarczającą.

— Widzę, że mistrz zrobił przykre doświadczenie z mamami.

— Och tak, to zupełnie specjalna kasta ludzi te mamusie cudownych dzieci. Pani Bock powiedziała kiedyś, że cudowne dzieci wogóle nie powinny mieć mam, a rodzić się w inkubatorach...

Słowom tym towarzyszy lekki uśmiech. Wogóle Józef Hoffman uśmiechał się często.

— Mistrz ma wielki „sens of humour" — ośmielam się zaznaczyć pod koniec naszej rozmowy.

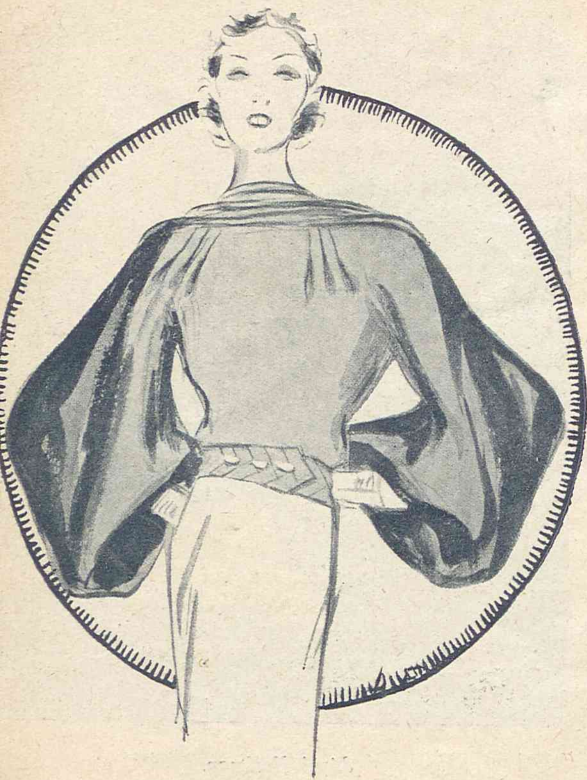
— Im głębiej człowiek poznaje tragizm życia, tem chętniej uśmiecha się beztrosko.

Słychać stukanie do drzwi. Dyrektor Markiewicz zabiera mistrza. Za dziesięć minut rozpoczyna się próba w Filharmonji.

Wychodzę na ulicę. Czy słońce jakoś jaśniej teraz świeci, czy też to wpływ radosny tych chwil spędzonych w obecności mistrza Hoffmana?

Aniela Waldenbergowa.

MAŁO — ALE DOBRZE



Spotykam znów moją znajomą. Odrazu zaczyna „na temat":

— No to nareszcie dzisiaj dowiem się, jak mam się ubrać, ja, kobieta średniozamożna, bez samochodu, ale i bez przymusu pracy zarobkowej. Więc co się nosi w tym sezonie?

„Zaraz, proszę pani. Zanim opowiem o *szczegółach* — to zawsze mniej ważne — musimy znów ustalić pewną linję ogólną. Jaki będzie krój rękawa, z jakiej skóry pasek — to jest oczywiście interesujące przy sprawianiu. Ale ważniejsza jest kwestja zasadnicza: *co należy sprawić?* Jakie pozycje w garderobie kobiety dbającej o swój wygląd są niezbędne?"

— To chyba każda z nas wie...

„Tak? Pozwalam sobie wątpić. Polki grzeszą naogół w sprawach toaletowych—brakiem planu. Brakiem przemyślenia. Kupowaniem „na łapu capu". Skutkiem tego miewają czasem jednych rzeczy w repertuarze toaletowym nadmiar— a innych zupełny brak. Chodzi mi o ustalenie podstaw niezachwianych, bez których nie można pretendować do elegancji — nawet „drugiej klasy". Bo tylko posiadając dobrze obmyślony „repertuar" można być w każdej porze i okoliczności ubraną odpowiednio. A to jest właśnie u nas najrzadsze".

— Czyż aby?

„Niestety. Widuje się czasem rzeczy nieprawdopodobne. Spotkałam kiedyś na ulicy, ubiegłej jesieni, jedną z najświetniejszych naszych artystek rewjowych, w chłodny dzień deszczowy, o godzinie 11-ej rano. Ubrana była tak: miała na sobie naprawdę pierwszorzędny płaszcz karakułowy z kołnierzem ze srebrnych lisów. Na głowie... marynarski dziecięcy kapelusik z zielonego wełnianego materjału, stebnowany, mocno wygnieciony. Z pod płaszcza, który był długości trzy-ćwierciowej, wyglądało kilka ogonów sukni, zwanych ongi „fruwajkami" — których dziś oczywiście nikt nie nosi. Rok temu także nie. Ta suknia była z wzorzystego jedwabnego chiffon w wielkie żółte kwiaty. Efektownego stroju dopełniały — (deszcz lał jak z cebra) — czółenka bronzowe na bardzo wysokim obcasie i grube włóczkowe szare rękawiczki. Daję pani słowo, że niczego nie zmyślam".

— I co?

„I nic. Ludzie przechodzili koło niej spokojnie, ledwo się kto czasem obejrzał. Policjant jej nie aresztował. Psy nie wyły. W Paryżu na taki widok motory autobusów stawałyby dęba. U nas publiczność jest cierpliwa. Ale pomyślałam sobie, że jeśli tak się stroi osoba, „na którą patrzą'" — (i która zagranicą nie mogłaby myśleć o karjerze scenicznej, gdyby nie wyglądała po ludzku) — to jak można wymagać, aby się ubierała z sensem przeciętna polka?"

— A właściwie co według pani należało w stroju tej aktorki zmienić?

„Wszystko. Więc o 11-ej rano nie chodzi się po ulicy w sukni chiffonowej — nawet w upalne tropikalne lato, a cóż dopiero w jesienną pluchę! Więc na deszcz nie kładzie się futra—bo zmoknięte nie pachnie, a najpiękniejszy lis wygląda jak zmokła kura. Więc na błoto nie nosi się mocno wyciętych czółenek, ani „cielistych" jedwabnych pończoch. Więc efektu luksusowego płaszcza nie wolno psuć parogroszowym oberwanym kapelusikiem, a elegancka kobieta włóczkowych rękawiczek wogóle w mieście nie nosi. Powinna była ubrać się tak: suknia wełniana, genre sportowy. Płaszcz skórzany od deszczu — to bywa nawet bardzo wytworne. Pończochy cienkie wełniane, półbuciki sportowe na szerokiej podeszwie (można gumowej) i na niskim obcasie. Kapelusz zamszowy sportowy, dobrany ściśle do koloru płaszcza, rękawiczki bronzowe skórkowe — w kolorze bucików. Dla ciepła rękawiczki powinny być na podszewce wełnianej lub futrzanej. — Tak ubrana byłaby odpowiednio do pory dnia, pory roku i pogody — ubrana zaś „po swojemu" wyglądała niestety jak pajac".

— Ale na to, żeby być o każdej porze właściwie ubraną, trzeba mieć rzeczy strasznie dużo... Na to nie każdy może sobie pozwolić.

„Nie trzeba mieć dużo — *przeciwnie*. Tylko trzeba przed sezonem dokładnie rozważyć, co jest absolutnie niezbędne — i kupować *z planem*, trzymając się ściśle programu. Nie sprawiać sobie „zamiast płaszcza od deszczu" ...jeszcze jednej jedwabnej bluzeczki.... „bo taka ładna i niedroga".

— Wobec tego słucham, co ten „repertuar" ma zawierać jako minimum.

„Więc zaczynamy od ubrania na ulicę. Mówimy o sezonie jesiennym, a zatem niezbędny na ranne wyjścia ciepły płaszcz wełniany. Najlepiej z supełkowej wełny, szarej albo bronzowawej. Do tego płaszcza sportowe półbuciki, odpowiednie rękawiczki, kapelusz filcowy typu męskiego".

— Żadnych fantazji?

„Niech Bóg broni! Kto chodzi pieszo po ulicy dla załatwiania sprawunków, czy nawet dla rannej przechadzki — musi być ubrany z wielką dyskrecją. Pod płaszcz suknia wełniana — wełny są w tym sezonie szalenie modne i naprawdę śliczne. Takich sukien trzeba mieć dwie. Te „petites robes" nosi się od rana do popołudnia, więc przykro ciągle paradować w tej samej. Jedna będzie z płaszczem ściśle sharmonizowana w tonie i rodzaju. Druga może być zupełnie odrębna, żywsza w kolorach, dla odmiany.

— A na niepogodę?

„Koniecznie płaszcz od deszczu impregnowany — w naszym klimacie przedmiot to niezbędny, a że przytem jest to obecnie i bardzo estetyczne i tanie, więc tembardziej należy korzystać. Kogo stać na skórzany — proszę bardzo. Radziłabym, jeżeli trzeba wydatki ograniczać, aby kolor płaszcza deszczowego harmonizował z wełnianym sportowym. Wtedy wszystkie „dodatki" (kapelusz, trzewiki, rękawiczki, torebka, parasol) — nosić można z powodzeniem do obu. Tej konieczności harmonizowania szczegółów polki dotychczas nie wyczuwają dostatecznie — stąd czasem dobra całość zepsuta jakimś nieobliczalnym wyskokiem.... Czego się pani śmieje?"

— Bo mi pani właśnie przypomniała niechcący jedno takie przestępstwo. Kupiłam sobie taką śliczną torebkę... I taką modną.... Tak mi się w sklepie szalenie podobała.... Ale kiedy ją przyniosłam do domu, przekonałam się, że właściwie do niczego nie pasuje: ani do płaszcza, ani do tailleur, ani do sukni....

„Dobrze, że pani przynajmniej to spostrzegła. Ale znam mnóstwo kobiet, które uważają się za wytworne, a nie reagują zupełnie na takie niedociągnięcia. Więc wracając do „repertuaru": dobrze jest mieć (choć w naszym klimacie *konieczności niema)* — tailleur jesienny. To nieoceniona sztuka garderoby, zawsze elegancka, jeżeli dobrze zrobiona. Ale jesień bywa w Polsce tak chłodna i dżdżysta, że na tailleur czasem niema okazji. Więc choć radzę — ale nie przymuszam. Znów ton tailleuru radziłabym sharmonizować z płaszczem — dobieranie szczegółów jest wtedy niezmiernie ułatwione".

— E, tak wszystko monotonnie... Nie lepiej mieć każdą rzecz innego koloru, żeby przynajmniej była rozmaitość? I żeby kolor był modny?

„Co kto lubi. Ja się przyznam, że nigdy nawet nie wiem, *jaki kolor jest modny* w danym sezonie. Bo uważam za największy nonsens stosowanie się w wyborze koloru— do mody. Kolor dobiera się, proszę pani — do twarzy. A raczej, jeżeli ma być niezawodny — *do koloru włosów i oczu.* Jeżeli prawie od dzieciństwa mam nieprzepartą słabość do dwuch kolorów: taupe i szaro - zielonego, to może właśnie dlatego, że bezwiednie stosowałam się do odcieni moich włosów i oczu. A „monotonja" taka jest nietylko w doskonałym guście — bo daje własny styl — ale jest też, finansowo biorąc, najwygodniejsza — bo pewna gama tonów powtarza się stale i nic się ze sobą nie „gryzie". Poza takim kolorem ulubionym radzę naturalnie zawsze jeszcze czarny jako niezmiernie dystyngowany i przy garderobie niezasobnej napewno najbardziej wytworny. Paryżanka naprzykład, sprawiając suknię popołudniową, wcale się nad kolorem nie zastanawia: ona zgóry wie, *że suknia będzie czarna.* To też w każdym eleganckim lokalu w Paryżu spotyka się 90 procent kobiet ubranych czarno. Ale zato z jakiem wyrafinowaniem obmyślone są szczegóły"....

— No, więc mamy już dwa płaszcze na ulicę, tailleur i suknię na przedpołudnie. Co jeszcze?

„Jeszcze — suknia popołudniowa. Jak już zaznaczyłam — czarna, najlepiej jedwabna. I, nic na to nie poradzę — ale do niej *musi być płaszcz.* Przecież nie ten sportowy, ranny, ani ten od deszczu. Czarny, przybrany futrem, z pięknej fantazyjnej wełny — a jeszcze lepiej z tak modnego znowu w tym roku aksamitu. Będzie to już bardzo strojne — chociaż niewątpliwie kosztowne. Bo piękny aksamit — a tylko taki warto kupować — jest niestety bardzo drogi".

— A jakie do tego „dodatki"?

„Nic z tamtych rzeczy kolorowych harmonizować z tem nie będzie. Trzeba mieć pantofelki reniferowe czarne, torebkę z identycznej skóry. Rękawiczek conajmniej dwie pary: jedne czarne, drugie białe. Kapelusz czarny, nieduży, z małą woalką".

— Ale ja dużo bywam — jedna suknia popołudniowa mi nie wystarczy....

„Radzę w takim razie jako drugą całość mieć spódnicę z tego samego aksamitu co płaszcz, a do niej na zmianę dwie bluzki: jedną z lśniącego białego satin, drugą z jakiejś materji strojniejszej, np. z lamy. Wtedy nawet przy niespodziewanem przeistoczeniu się wizyty popołudniowej w wieczorową — co w naszem nieuporządkowanem życiu jest częstą katastrofą — będzie pani jednak doskonale ubrana. W tym stroju może pani także iść do teatru, na dancing".

— A prawdziwą wieczorową suknię jaką mam sobie sprawić?

„Przedewszystkiem *jeszcze nie zaraz.* Moda się dopiero krystalizuje — a wieczorowe przyjęcia jeszcze się na dobre nie zaczęły. Więc z tem lepiej poczekać, aby potem rąk nie łamać nad nieudanym, pośpiesznym nabytkiem. Zasadniczo jednak — jeżeli suknię wieczorową sprawia pani jedną tylko, to będzie naturalnie czarna".

— Ojej, znów ta żałoba...

„Najpiękniejszy z kolorów, droga pani. I każdej kobiecie w nim do twarzy, odkąd każdą twarz można przemalować na taki kolor, jaki nam się podoba. Jeżeli jednak pani bardzo dużo bywa, a zwłaszcza jeżeli bywa pani często w tem samem towarzystwie, to wskazane jest mieć conajmniej dwie suknie wieczorowe. Inaczej jadowita przyjaciółka zapyta panią wreszcie, „czy się pani jeszcze nie sprzykrzył ten „mundur"...

— No a pozatem ?

„Pozatem—już. Jestem wrogiem posiadania pełnej szafy drugorzędnych gałganów. Przed taką szafą stoi się zwykle z melancholją, stwierdzając bezapelacyjnie: *nie mam co na siebie włożyć.* Mało— ale dobrze. To uważam za dewizę dla kobiety, która nie rozporządzając miljonami, chce być elegancka. To *„mało"* zresztą na to, żeby było *„dobrze"* — musi być dość kosztowne, gatunek musi być dobry. Ze sztywnej wełny albo nieszlachetnie błyszczącego sztucznego jedwabiu nawet czarodziejka nie stworzy rzeczy pięknej".

— A co pani uważa za warunek najniezbędniejszy — taki, bez którego kobieta przeciętna nie może pretendować do miana eleganckiej?

„Świetnie wykończone: *„głowa, ręce i nogi.* Czyli: estetycznie, starannie uczesane włosy, „twarzowy" i świeży kapelusz, doskonałe w gatunku buciki i rękawiczki. Z temi szczegółami „dobrej klasy" można mieć nawet zeszłoroczną suknię — i być ubraną doskonale.

Lustucru.

JIM POKER

PIĄTY BŁĄD MARJANNY

(NOWELKA)

Brunon Dzimicz obrócił zlekka głowę— do złudzenia przypominającą wizerunek satyra z cokołu ogrodowego — i nie podnosząc się z krzesła, rzekł:

— Nie lubię, gdy mi kto przeszkadza w pracy.

— Nawet ja?....

— Nawet pani, urocza Marysiu.

— A co pan pisze?

Komandor zrobił ruch ręką jakby opędzał się od naprzykrzonej muchy. Chwilę poruszał dolną szczęką, niby to żując gumę, co dla wtajemniczonych oznaczało zniecierpliwienie lub złość zgoła. *Il se donnait une contenance*, — jakby powiedział nieśmiertelny znawca duszy marynarskiej — Claude Farrère.

— Proszę bardzo. Ale mogę pokazać tylko tytuł. Reszta, przysłoniona bibułą, to moja tajemnica.

— Cztery błędy *Marjanny!* — zawołała pochylona nad ramieniem komandora piękna pani. — To o mnie.

Brunon Dzimicz ni to potakiwał, ni to dalej żuł gumę.

— Ach jak to ładnie z pana strony, — brzmiał dźwięczny kobiecy alt. A ja myślałam, że pan o mnie wcale nie myśli. Tymczasem okazuje się, że marynarze to naprawdę romantycy...

— Jakież to cztery błędy? — zaśmiała się po chwili. — Chyba nie w stosunku do innych mężczyzn, bo interesował się pan moimi adoratorami bardzo mało. Więc pewno w stosunku do pana?

Brunon Dzimicz wciąż „żuł gumę".

— Jest pan dyskretny. To bardzo ładnie. Więc pomogę panu. Pierwszy mój błąd ....to było bardzo, bardzo dawno... No, nie tak znowuż strasznie. Pamięta pan ten wieczór w Mińsku Mazowieckim, wtedy jeszcze Nowo-Mińskiem zwanym. Pan właśnie zdał maturę, a ja byłam podlotkiem - pensjonarką. Poszłam z panem do ogrodu i tam pod stuletnią lipą, która ponoć miała własność kojarzenia małżeństw, pocałował mnie pan prosto w usta.... Byłam zupełnie oszołomiona, nie broniłam się.,. Ale w chwilę potem rozległ się głos Mademoiselle: *Marianne, Marianne!* — darła się poczciwa francuzica, snać przeczuwając, co się święci... A ja nie wiedziałam, co robić. Czy uciekać, czy całować się dalej?

— Uciekła pani jednak, — odezwał się wreszcie Brunon.

— Tak, bo Mademoiselle nadchodziła. I po rozwadze żałowałam bardzo popełnionego błędu... Pierwszego błędu.

— Czy żałowała pani wogóle *tego* pocałunku, czy też tych dalszych, których nie było?

— Cynik z pana. Żałowałam wogóle, że dałam się panu pocałować.

Komandor powrócił do „pozornego" żucia gumy. Pani ciągnęła dalej:

— Spotkaliśmy się po trzech latach w Petersburgu. Byłam młodą mężatką, a pan gardemarinem floty. Było to na jakimś balu.... Strasznie zabawnie wyglądał pan w tym pół-marynarskim pół-oficerskim stroju... Jak nieopierzony kogucik wśród tylu kapiących od srebra i złota oficerów... Chciał pan nawet ze mną tańczyć, ale dałam panu kosza... ha, ha, ha!... Odszedł pan taki strapiony, że aż mi się żal zrobiło. Ale rozumie pan, w dwa tygodnie po ślubie tańczyć z gardemarinem, mając męża kapitana, inżyniera i barona.... to trochę ryzykowne. Nie chciałam być na językach całego dworu.

— Drugi błąd Marjanny, — wtrącił spokojnie Dzimicz.

— Niech i tak będzie, — zaśmiała się dama, opierając się o poręcz fotela, a może i o barczyste ramię Brunona. — Ciekawam jednak, gdzie będzie trzeci? Czy w Archangielsku, gdzieśmy się widzieli w czasie wojny tylko chwil kilka, czy też w Londynie po zawieszeniu broni, kiedy gromady pijanych radością i whisky Tommies przeciągały ulicami śpiewając „Tipperary"?

— Pewno w Londynie.

— Tak. Przypominam sobie. Mój „Rolls" najechał na rogu Picadilly i Regentstreet na jakiegoś żołnierza, nieopatrznie przechodzącego przez jezdnię. Żołnierz miał na rękawie naszywki sierżanta artylerji, a na naramiennikach liść klonu, symbolizujący, o ile się nie mylę, Kanadę. Odwrócił się i zaklął szpetnie, bardzo szpetnie nawet... Nie odważyłabym się powtórzyć, dokąd posłał mnie i całą moją rodzinę...

— Bardzo przepraszam.

— Zasłużyłam przecież nie ja, tylko Mac - Grey — mój szofer. Tem nie mniej zdziwiłam się jak ten sierżant był do pana, komandorze, podobny. *En maniére d'excuse* poprosiłam go, żeby wsiadł, to go podwiozę. A on na to: — „Jeżdżę tylko automobilami Jego Królewskiej Mości, szczególnie kiedy ciągną działa trzycalowe..." — Nic tylko po tej odpowiedzi poznałabym pana na końcu świata.

— Pomogę pani. Zaproponowałem wtedy *rendez-vous* bez „Rollsa" i szofera w pewnym małym, dobrze mi znanym barze na Drury Lane. Odmówiła pani....

Dama znów zaniosła się śmiechem: — Trzeci błąd Marjanny! — zawołała wesoło.

— Bądźmy łagodni.

— Dobrze, najlepszy literacie między komandorami. I ostrożni też. Bo naprawdę nie wiem, jak wybrnąć z dalszego ciągu?

— Nic trudnego. Pewnego powojennego dnia przyjechał na wizytację do Modlina, gdzie mieściła się pepiniera polskiej marynarki wojennej, pewien wysoki dostojnik. Dostojnik ten, w myśl starych polskich zwyczajów — *„my rządzim światem a nami kobiety"* — podróżował z małżonką, którą witaliśmy z należytą czcią i takiemiż wojskowemi honorami, skoro ani na krok nie odstępowała swego... podwładnego. Nie potrzebuję tłomaczyć, kim była małżonka owego dostojnika, nie mającego zresztą nic wspólnego z kapitanem, inżynierem i baronem z Piotrogrodu, a także z właścicielem luksusowego „Rollsa" z Londynu....

— Złośliwcze....

— Wcale nie. Kobieta zmienną jest, jak słusznie śpiewa się w „Rigoletto". To wasze prawo. Nasze zaś....

— Wpadać, — przechyliła się pani przez poręcz, aż głowa dobrodusznego satyra utonęła w pachnącym zwoju jakichś koronek, fularów i batystów.

— *I should worry*, — odezwał się stamtąd po chwili stłumiony głos.

— No, więc bądźmy poważni. Podobał mi się pan w dalszym ciągu bardzo, ale miał pan prawdziwego pecha. Byłam przecież znów młodą mężatką, żoną dostojnika, na którego zwrócone były oczy całego społeczeństwa.

— Oczy całego społeczeństwa, a właściwie jego gorszej męskiej połowy, zwrócone były raczej na panią. I dlatego ja, biedny kapitan marynarki, nie mającej jeszcze okrętów, byłem z góry skazany na niepowodzenie. Wiadomo — marynarka na lądzie, to jak ułan na osiołku.... Dała mi to pani zresztą odczuć w sposób wytworny choć przykry.

— I opisał pan to oczywiście jako czwarty błąd Marjanny?

Brunon Dzimicz pożuł znów gumy. Za oknami odezwały się przeciągłe tony trąbki. To w koszarach marynarki odprawiano capstrzyk. Gdzieś od strony morza zerwał się wicher, zakołysał lampami przydrożnemi, uderzył w okno i nie dawszy mu rady, odskoczył przebiegle. Ogień na kominku, przestraszony chwilowym najazdem władcy przestworzy, zamigotał ze strachu, przygasł, aż nagle uspokojony, zapłonął jasnym blaskiem.

— I co będzie dalej? — zagadnął spokojnie komandor.

— Dalej, — po chwili milczenia odezwał się jedwabny alt — dalej, drogi komandorze, nie będzie już... piątego błędu Marjanny.

. . . .

Pani Marysia lubiła do porannej kawy przeczytać gazetę. Nie dlatego, żeby specjalnie interesowała się tem, co na świecie zachodzi, ale trzeba przecież być *„up*

MYŚLI CZŁOWIECZE

Język kieruje się tam gdzie boli ząb — jest to bardzo mądre włoskie przysłowie, a oznacza po polsku, że człowiek myśli o tem, co go najwięcej obchodzi.

Bardzo to ciekawe, jak ludzkie myśli się zmieniają i co kiedy człowieka najbardziej obchodzi.

Gdy byłem małym chłopcem i chodziłem do szkoły, myślałem o tem, by się wykręcić od zrobienia lekcyj, a mimo to nie dostać dwóji.

Później, gdy byłem już nieco starszy i poraz pierwszy się kochałem, myślałem o kobiecie, w której się kochałem.

Gdy byłem na wojnie — nie było wogóle czasu ani ochoty na myślenie.

Teraz gram na Loterji Państwowej i myślę o tem, aby wygrać.

Jestem już stary i myślę sobie: 15 listopada rozpoczyna się ciągnienie II-ej klasy 34-ej loterji i trwa cztery dni. Najwyższe dwie wygrane wynoszą 100.000 zł., jest też wiele innych wygranych na łączną sumę około półtora miljona, a prócz tego nowość: codzienna wygrana 25.000 zł. Odnowię więc natychmiast los do tej klasy i dlaczego właśnie ja nie miałbym wygrać?



to date". To też kiedy wraz z pachnącym napojem i trzeszczącą apetycznie bułeczką nie mniej apetyczna pokojówka podała jej „Wiadomości Morskie", — Marjanna, jak ją w domu nazywano — uważała za stosowne przynajmniej rzucić okiem na tytuły.

— O, jest! — zawołała nagle z uczuciem dumy i radości.

I rzeczywiście: Na trzeciej kolumnie szczerzył do niej w uśmiechu czarne zęby tytuł: *„Cztery błędy Marjanny"*.

— Jest przynajmniej na tyle przyzwoity, że na tem poprzestał, — zauważyła z zadowoleniem.

Nie odrazu zaczęła czytać. Przeżywała, jak każda kobieta, moment „przedwstępny" z rozkoszą, przedłużała go.... Przecież tam w gazecie stało o niej. I wogóle ten feljeton miał tak doniosłe znaczenie w jej życiu. Dzięki niemu przecież....

Ukradkiem rzuciła okiem na gazetę.... *Dzisiejsza nerwowość Marjanny ma głębsze podłoże...* Aha! Więc to poważniejsze studjum psychologiczne. Zacznijmy od początku:

Gdy Niemcy z otwartą przyłbicą ogłosili światu, że mają już dosyć klauzul Wersalu, pozbawiających ich prawa do rozbudowy sił morskich...

Co to jest? Pomyłka w druku, czy żart?

...Szybsze zorjentowanie się co do znaczenia wytrzymałości okrętów ze strony Francji spowodowałoby uniknięcie tego pierwszego błędu Marjanny.

Na czoło pani Marysi zaczyna wychodzić pierwszy pot.

Cała serja torpedowców francuskich może być nazwana trzecim błędem Marjanny... Ostatni czwarty — jest może najcięższy. Zamiast pieczy nad zbudowaniem współczesnego jądra pancerników, wielokrotnie przebudowywano już dogorywujące jednostki typu „Provence"....

Pani Marysia wie już, o jaką to *Marjannę* Dzimiczowi chodziło. Czekajże zdrajco!

. . . .

— Niegodziwcze! Więc tobie chodziło o tę Marjannę we frygijskiej czapce?

— Tak. Ale przyznać muszę, że zbliska wolę jej polskie ucieleśnienie.

— Przeproś mnie zaraz i powiedz, że żałujesz.

— Nie żałuję wcale, tylko jestem pani wdzięczny. I gotówem zaraz tego dowieść.

— Więc kochasz mnie jednak?

Brunon Dzimicz dwukrotnie poruszył dolną szczęką, co mogło oznaczać „tak".

Pani Marysia nie byłaby kobietą, gdyby nie uwierzyła. I to był dopiero... *Piąty błąd Marjanny.*

Jim Poker.

Tadeusz Beval, świetny wykonawca roli Jontka w „Halce" i Cania w „Pajacach", gorąco przyjmowany przez widownię.



Warto przeczytać!

W tych dniach otworzyła znana powszechnie firma kapelusznicza „J. Młodkowski" (centrala pl. 3 Krzyży 18), w najruchliwszej części warszawskiej City, przy ul. Marszałkowskiej 92, nad wyraz nowocześnie i gustownie urządzoną filję swego przedsiębiorstwa.

Znając firmę Młodkowski w jej dotychczasowej działalności z jaknajlepszej strony, rokujemy jej i na tym nowym odcinku pracy pełne powodzenie. Nie wątpimy, że stosować będzie niezmiennie metody, które zadecydowały o jej wzięciu i że dobra obsługa, niskie i przystępne ceny, wysoki gatunek towaru oraz bogaty wybór należeć będą do kardynalnych zasad handlowych firmy Młodkowski.

Pozatem jednak będzie można tu stale zobaczyć najświeższe kreacje męskiej mody kapeluszniczej, ostatnie fasony i wszelkie nowości. Od czasu, gdy i męska moda zerwała z jednostajnością, dbający o siebie mężczyzna musi śledzić zachodzące w tej dziedzinie zmiany, by nie pozostać w tyle. Przy urządzeniu swej filji przy ul. Marszałkowskiej uwzględniła firma Młodkowski i te potrzeby, urządzając ją w ten sposób, aby już rzut oka na wystawę, a poprzez nią wgłąb magazynu, dawał możność dokonywania rewji wszelkich nowości i zmian, zachodzących w dziedzinie męskiego nakrycia głowy.

Zwracamy więc uwagę naszych czytelników, że mijając wszak często tę część pryncypalnej ulicy, mogą skorzystać z okazji uczestniczenia w bezpłatnej rewji męskiej mody kapeluszniczej, wynosząc stąd niewątpliwie duże korzyści. Firmie Młodkowski należy się za ten wyczyn prawdziwe uznanie.



Barbara Karczmarewicz, świetna solistka baletu opery warszawskiej.

Stenia Stanisławska, wschodząca gwiazdka baletu opery warszawskiej.



Z ŻAŁOBNEJ KARTY



Dnia 16 października zmarł w Warszawie ś. p. Jan Łodzia Tomicki w 75-ym roku życia.

Jan Łodzia Tomicki pochodził ze starożytnego rodu szlacheckiego, dobrze zasłużonego krajowi, rodu, który wydał szereg dostojników kościoła i wybitnych mężów stanu, między innemi — kanclerza Piotra Tomickiego, twórcy słynnych act Tomiciana.

Piękne tradycje, odziedziczone po przodkach, ś. p. Jan Łodzia Tomicki godnie przez całe swe życie piastował.

Ktokolwiek miał możność obcowania z ś. p. Janem Tomickim, zachował nazawsze wspomnienie Jego wykwintnej postaci, Jego ujmującej uprzejmości, i wielkiej prawości charakteru.

Wskutek okoliczności życiowych, niemogąc poświęcić się pracy na roli, Zmarły, ukończywszy studja na politechnice w Berlinie, pracuje długie lata w przemyśle cukrowniczym na kresach wschodnich.

Tam zastaje go wojna, i przewrót zmusza Go do opuszczenia swej placówki pracy.

Po przybyciu do Warszawy, mimo swego podeszłego wieku, nie opuszcza rąk, lecz z właściwą sobie energją, i żywotnością, rozpoczyna nowy etap swej twórczej pracy, jako kierownik Warszawskiego biura Rady Nadzorczej Tow. Kopalń Sosnowieckich, na którem to stanowisku pracował do ostatnich chwil swego życia.

Zmarły pozostawił dotkniętych ciężką żałobą, żonę, dwie zamężne córki, małego wnuczka, siostrę i brata.

Nad otwartą mogiłą żegnali Go na wieki przedstawiciele Rady Nadzorczej Sosnowieckiego Tow. Kopalń Węgla, a delegat grupy Francuskiej, p. Condammin w pięknych i podniosłych słowach scharakteryzował życie i pracę Zmarłego.

Cześć Jego świetlanej pamięci!

Wycieczki zagraniczne a eksport polski

W wycieczkach zagranicznych organizowanych przez Polskie Biuro Podróży Orbis w ciągu 8-miu miesięcy r. b. wzięło udział około 3.500 osób. Z cyfry tej największy odsetek przypada na wyjazdy do Jugosławji — 600 osób, Austrji —680 osób, Bułgarji 380 osób. Pozostała ilość przypada na wszystkie inne państwa europejskie oraz Palestynę i Turcję .

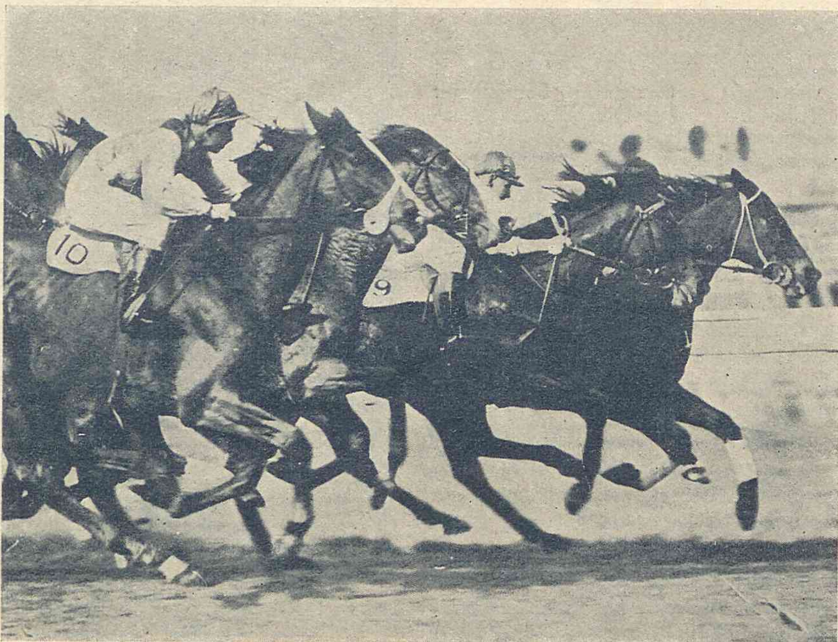
Wycieczki kierowane były przedewszystkiem do tych krajów, które zawarły układy kompensacyjne z Polską, względnie traktaty handlowe, więc wyjazdy te miały swe uzasadnienie gospodarcze i dawały odpowiedni ekwiwalent dla naszego eksportu lub też innej dziedziny życia gospodarczego.

Wymienić tu należy przedewszystkiem wycieczki do Jugosławji, Bułgarji, Austrji, Czechosłowacji i Węgier. W związku z wycieczkami i wyjazdami do tych państw Orbis wyrobił ogółem około 1.500 akredytyw kompensacyjnych na kwotę ca. zł. 1.200.000.—

Odmrożenie należności polskich zagranicą na tak poważną sumę jasno wykazuje znaczenie ruchu turystycznego i korzyści wynikające zeń dla gospodarki narodowej.

Wycieczki do innych państw były organizowane na kongresy i zjazdy międzynarodowe oraz na Wystawę Światową do Brukseli, co jest uzasadnione motywami gospodarczemi i kulturalnemi. Stanowisko Orbisu w zakresie turystyki z Polski zagranicę, ściśle podporządkowane względom państwowym, zasługuje na uznanie i poparcie społeczeństwa.

W dziedzinie turystyki morskiej Orbis współpracuje przedewszystkiem z polskiemi linjami okrętowemi, prowadząc specjalny dział morski i przyjmując zapisy na wycieczki polskiemi statkami, oraz organizując pociągi specjalne do portów Triestu i Constanzy dla pasażerów M/S „Piłsudski", S/S Polonia" i S/S „Kościuszko". Intensywna praca Orbisu na trasie podróży do Palestyny (dział palestyński) daje duże wyniki. Zarówno emigranci, jak i turyści tłumnie korzystają z usług Polskiego Biura Podróży.



Już od startu rozpoczęła się gorąca walka.

Kronika muzyczna

Teatr Hollywood

REWJA „WESOŁA JESIEŃ".

Naprawdę wesoła jesień; przez parę godzin zapominamy o słocie, kryzysie, straszliwej wojnie i innych troskach, a wraz z wykonawcami bawimy się całem sercem. Po rewji inauguracyjnej, którą ratowali tylko Ordonówna i Igo Sym, daje nam dyrektor Włast doskonałe przedstawienie, przypominające dobre czasy „Morskiego Oka". Zgrany zespół, świetne teksty i śliczne melodje tworzą bardzo dobrą całość.

Na pierwszy plan wysuwa się polska Mac Donald, gwiazda ekranu i operetki, Tola Mankiewiczówna. Po wielkich sukcesach berlińskich czaruje Warszawę swym głosem, urodą i wdziękiem. Zwykle żałowaliśmy tej artystki, że marnuje swój talent w nieodpowiednich dla siebie tekstach — tym razem Mankiewiczówna śpiewa bardzo piękną i niebanalną piosenkę Warsa do słów Tuwima, a właściwie wykonywa utwór Tuwima z muzyką Warsa, gdyż jest to raczej melodeklamacja, w której Mankiewiczówna celuje. Świetną dykcją i umiejętną interpretacją znakomicie podkreśla i uwypukla wartości tej pseudo - piosenki. Na bis dorzuca foxtrota „A panna Tola", wprowadzając odrazu publiczność w wesoły nastrój dowcipnego tekstu. W II-ej części jako „Mieszczka" z XVIII-ego wieku zachwyca nas naiwnością młodego dziewczęcia, które pierwsze w Warszawie tańczy „nieznanego" walca.



Z popisów zespołów chóralnych Związku nazowieckiego Stowarzyszeń śpiewaczych i muzycznych. Przy pulpicie naczelny dyrygent związkowy W. Lachman.



Świetna pieśniarka Tola Mankiewiczówna święci tryumfy w ostatniej rewji w Hollywood.

Razem z Aleksandrem Żabczyńskim tworzą piękną parę w melodyjnym „Walcu jesiennym". Żabczyński pozatem śpiewa dwie piosenki sentymentalne, bardzo dobrze je interpretując.

Już tak z przyzwyczajenia Warszawa zachwyca się obrazami rosyjskiemi, które naturalnie muszą być w każdej „rasowej" rewji — to też wielkie brawa otrzymuje Janina Sokołowska jako dziewczyna rosyjska. Coprawda „Siemeczki" co drugi takt mają wzięty z „Bubliczek", ale może właśnie znana melodja bardziej odpowiada mało muzykalnej widowni. Obraz jako całość z dobrym baletem i ładnemi dekoracjami bardzo udany.

„Król humoru" (wg. programu) Eugenjusz Bodo przypomina stary dowcip bigosu literackiego w nowej postaci oraz w długim monologu o obrazku śpiewa doskonałą piosenkę „Na pagórku jest dębina" w stylu „Koguta, który leży koło drogi". Swą nadzwyczajną dykcją wprawia w zdumienie publiczność, która z zapartym oddechem czeka, aby Bodo nareszcie się pomylił, recytując najtrudniejsze słowa z niesłychaną szybkością. Trudno to zresztą opisać, najlepiej pójść i posłuchać.

Konrad Tom tłumaczy nam, dzięki wystawie na Kole, nowe znaczenie B.G.K. „byłe gotowe kuczki". Ponieważ budowa własnego domku trwa niesłychanie długo, więc przez ten czas polska mniejszość może z niego korzystać jako z kuczek.

Bardzo dowcipny jest skecz w wykonaniu Toma i Żabczyńskiego jako kolegów-wyłamywaczy. Zato scena na statku „Piłsudski" mimo wielu komicznych momentów za ordynarna. Sokołowska i Skonieczny doskonali.

Bardzo mile prezentuje się Alicja Halama, dawno niewidziana na scenie. Reszta zespołu: Bohunówna, Rakowiecki i Ney'owie utrzymują rewję na odpowiednim poziomie.

Mała uwaga. Poco drukuje się program, jeżeli wszystkie numery są poprzestawiane. Również umieszczenie nazwisk kompozytorów i autorów tekstów byłoby wskazane.

H.

Sto lat „Łucji" Donizetti'ego

W historji opery zaznaczyć należy rocznicę, która minęła w tym roku. Dnia 26/9 1835 po raz pierwszy wystawiono w San Carlo w Neapolu operę „Łucja z Lamermoor". Jest to najlepsza opera Donizetti'ego, która mimo wielu śmieszności w dramatycznych powikłaniach, mimo często przejaskrawionych koloraturowych epizodów utrzymała się na scenach europejskich przez całe 100 lat.



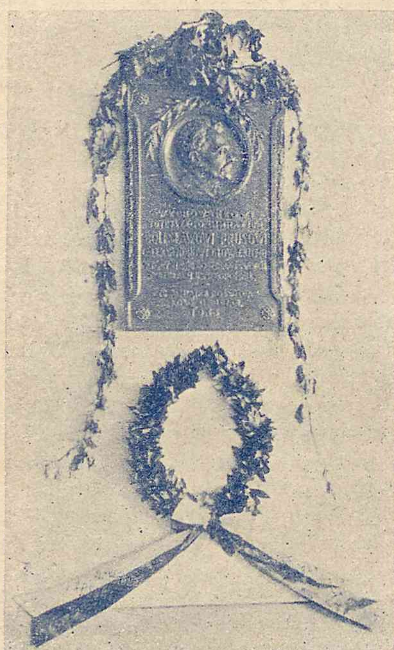




Zjazd koleżeński Koła Siedlczan



Dnia 6 b. m. odbył się w Siedlcach IV-ty Zjazd Koleżeński b. wychowanek i wychowanków szkół średnich siedleckich, zorganizowany przez Koło Siedlczan. Zjazd ten, podobnie jak poprzednie, został połączony ze specjalną uroczystością a mian. z odsłonięciem tablicy pamiątkowej ku czci Bolesława Prusa w gmachu gimnazjum im. hetmana Żółkiewskiego, do którego Bol. Prus w swej młodości uczęszczał. Tablica została umieszczona w gimnazjum na ścianie dokładnie w tem miejscu, gdzie przed wojną widniał napis rosyjski, zabraniający mówić po polsku.



Po uroczystem nabożeństwie w kościele Św. Stanisława, na którem okolicznościowe przemówienie wygłosił ks. prałat Krasuski, odbyła się akademja pod przewodnictwem p. Antoniego Byszewskiego. Głos zabierali m. inn. starosta Guliński, prezydent miasta p. Łaguna, dyrektor gimnazjum p. Piechowski, uczeń VIII-ej klasy Bronisław Mirański, delegat Tow. Literatów i Dziennikarzy Polskich p. Janusz Stępowski oraz profesor Wojewódzki, który w swoim ciekawym referacie przedstawił życie Bolesława Prusa na tle jego pobytu w Siedlcach, skąd znakomity autor wyruszył do szeregów powstańczych w 1863 roku. Aktu odsłonięcia tablicy dokonał p. Antoni Ponikowski, były premjer i minister W. R. i O. P., dawny wychowanek gimnazjum siedleckiego. Trzysta osób, biorących udział w zjeździe, towarzyszyło następnie uroczystości złożenia wieńca u stóp pomnika wojewody Władysława Rawicza i sześciu innych powstańców z 1863 r., straconych przez władze rosyjskie na szubienicy dokładnie w tem miejscu, gdzie dziś obok pomnika wznosi się piękny gmach szkoły powszechnej. Z tej okazji wygłosił wzruszające przemówienie do dziatwy szkolnej sędzia Borkowski. Zjazd zakończył w podniosłym nastroju raut w Klubie Miejskim, urozmaicony produkcjami koleżeńskiemi.



Redaktor L. Chrzanowski — Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. — Druk. Galewski i Dau, Warszawa